IJOLA

Odbiło czcionkami Drukarni Narodowe w Krakowie.

IJOLA

Dramat w czterech aktach

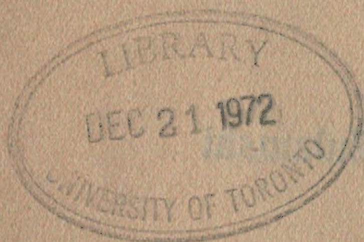
z czasów średniowiecza



Napisał: Jerzy Żuławski



Lwów • Nakładem Księgarni Narodowej • 1905
Warszawa: E. Wende i Ska


LIBRARY
DEC 21 1972
UNIVERSITY OF TORONTO

JERZEGO ŻUŁAWSKIEGO:

Poezje:

Poezje, tom I, wyd. II, 1901.
Poezje, tom II, 1900.
Z domu niewoli, 1902.
Pokłosie, 1904.
Xięgi niektóre etc., 1905.

Proza:

Opowiadania prozą, 1902.
Na srebrnym globie, powieść, 1903.
Prolegomena, uwagi i szkice, 1902.
Benedykt Spinoza, człowiek i dzieło, 1902.

Dramat:

Dyktator, 1903.
Eros i Psyche, wyd. II, 1905.
Ijola, 1905.
Wianek mirtowy, 1905.

Dramat ten
wystawiono po raz pierwszy
na scenie Teatru miejskiego
we Lwowie
dnia 6 marca 1905
za Dyrekcyi Tadeusza Pawlikowskiego

w następującej obsadzie ról:

Maruna	p. Solska.
Arno	p. Adwentowicz.
Grabia Kuno . . .	p. Żelazowski.
Wala	p. Solski.
Klucznik	p. Chmieliński.
Heno	p. Brzozowski.
Rycerz obcy . . .	p. Hierowski.
Gerta	p. Gostyńska.
O. Hilgier . . .	p. Jaworski.
O. Damazy . . .	p. Antoniewski.
O. Anioł	p. Wysocki.
Medyk	p. Sowiński.
Odźwierny . . .	p. Bielecki.
Pisarz	p. Kliszewski.
Truda	p. Kozłowska.
Berta	p. Zielińska.

Irenie Solskiej

ofiaruję

W Rzymie, dnia 14. grudnia 1904.

Akt pierwszy

Izba romańska, sklepiona, — ale już ze śladami budzącego się wczesnego gotyku. W tylnej ścianie — w głębokim wnęku — duże okno, zamknięte w ołów ujętymi witrażami. Gdy się je otworzy, widno naprzeciw — na tle nieba — szczyt dachu kościelnego i dzwonnicę. We wnęku, na wzniesieniu, na lewo ława drewniana, na prawo rzeźbione karło z poręczami i wysokiem oparciem. Na prawo pod ścianą łoże, obok, przed dużym czarnym krzyżem — klęcznik, nieco na środek wysunięty. — W ścianie z prawej, trochę ku przodowi, niewielkie i nizkie drzwi; między drzwiami a łożem ciężka skrzynia rzeźbiona. — W ścianie lewej w pośrodku kominek; między kominkiem a wnękiem okna warsztat snycerski, obok zasłonięta duża figura Matki Bożej. W kącie skład narzędzi, materjału i t. p. Od kominka ku przodowi półka na ścianie z różnem cynowem naczyniem; nieopodal na środek wysunięty stół na krzyżakach, przed nim ława i dwa krzesła drewniane. Na stole ręcznik, na nim napoczęty bochen chleba i nóż. Obok dzban gliniany, w który włożono pęk świeżych polnych kwiatów. — Oliwny kaganek na okapie kominka.

Arno siedzi obok okna w karle, z głową wspartą na dłoni. Może mieć lat trzydzieści parę, — twarz blada, asketyczna, rozpłomieniona dużemi oczyma, — włosy długie i broda. Strój średniowieczny, skromny i surowy, na ramionach czarny płaszcz, krojem do habitu podobny. Zachodzące słońce oświetla go barwnie, padając przez witraże...

Wala w stroju wędrownego pisarza, stoi tyłem o stół oparty, z cynowym dzbanem w ręku i śpiewa.

Pod zieloną wiechą
jest tam dziewczę hoże!
miód nalewa w izbie,
całuje w komorze!
hu-ha!

Arno poruszył się niecierpliwie, jakby mu chciał przerwać.

Wala wznosi dzban.

Do ciebie, bracie! — Zagląda. — Jeszcze w dzbanie dla nas obu zostało! — Potem pójdziemy pod zieloną wiechę! Nawet o pocałunki pięknej szynkareczki nie będę zazdrosny! — Pije. — Uf! dobre było! — Podaje dzban Arnie. — Na, masz! — pij do dna!

Arno odsuwa dzban dłonią.

Nie będę pił...

Wala.

Znowu to samo! Ha, cóż robić, to ja już i skończyć muszę... — Pije do dna, odrzuca próżny dzban i zbliża się ku oknu. — Ale słuchajno, chłopie, co się z tobą stało? Jak mnich wyglądasz, a i to źle mówię, bo mnichy przecież winem nie gardzą! — Poznać cię nie mogę! Ucieszyłem się tak, kiedy mi w Moguncji powiedziano, że jesteś tutaj, spieszę dniem i nocą — bez względu na ostatnie ciżmy —

aby cię zobaczyć nareszcie po tylu latach, — a ty... Tfu! do licha! Wyrwać się powinieneś z tej dziury!

Arno.

Dobrze mi tu jest...

Wala.

To samo mógłby szczur powiedzieć w próżnej skrzyni zamknięty! — Arno! Arno! — czyś ty już zapomniał o naszych wędrówkach po jasnym, szerokim świecie?

Arno.

Dawno już temu...

Wala.

Nie bluźnij, chłopie, i nie gadaj głupstw! Nie dawno, bośmy obaj młodzi jeszcze! Przynajmniej co do mnie: jestem młody i młody będę zawsze, dopóki mnie djabeł za moje grzechy do piekła nie porwie, — co nie daj Panie Boże, amen! — Widzisz, to odmładza, gdy się tak wędruje po świecie — żółtemi drogami, przez łąki i lasy, od miasta do miasta, od sioła do sioła, — z pustym nieraz brzuchem ale z swobodną myślą i z pieśnią wesołą! Dziesięć lat już tak błądzę...

Arno.

I znalazł-żeś szczęście?

Wala.

Hej! — szczęście... Ten ptak pozostał gdzieś daleko za mną, w lesie zielonym i śpiewa sobie na gałęzi, na której się kiedyś obwieszę! — Głupstwo! — Słońce znalazłem złote na niebie i wiatr na polu, co rozwiewa wspomnienia — i na dnie dzbana złoty śmiech! — A ty?

Arno pochyla głowę.

Szczęście tu przyszło do mnie...

Wala przygląda mu się.

No, jeśli to tak wygląda człowiek szczęśliwy... Wiesz ty, co ja ci radzę? pluń ty na to twoje szczęście i pójdź ze mną! — Przepijemy pod wiechą ostatni grosz w kalecie — a potem w świat!...

Arno.

Nie mogę! —

Wala.

A to czemu?

Arno wymijająco:

Księża mi dali robotę, — rzeźbię figury do wielkiego ołtarza w kościele...

Wala.

I to ciebie trzyma?
Daj temu pokój! — do pracy jest zima,
lato — do pędu, do życia, do śmiechu!

Pójdź jeno ze mną! — Tu ci brak oddechu,
tu brak powietrza!

Poskakuje ku oknu i otwiera je szeroko. Słońce, skryte za kościołem, już zachodzi, — niebo płonie czerwoną zorzą wieczorną.

Patrz w tę złotą zorzę,
patrz! Tam jest słońce za kościelną wieżą,
a pod niem łany niezmierzone leżą,
lasy i sioła, — dalej sine morze!
Pójdź ze mną — w słońce! Będziemy błądzili
znowu, jak niegdyś: od miasta do miasta,
przez góry, rzeki i lasy i łany,
gasząc pragnienie w przydrożnej krynicy,
śpiąc pod szerokim klonem lub jaworem,
słońcu i wiatrom śmiejąc się i życiu!
Kęs chleba wszędzie dobrzy ludzie dadzą,
a w braku ludzi — jabłoń nas nakarmi!
A jeśli miodu dzban się gdzie nadarzy,
to snadnie, bracie, starczy dla nas obu!
a jeśli ładną spotkamy dziewczynę,
to się nie będziem o jej usta kłócić!
Pójdź jeno ze mną! świat jest tak szeroki,
są lasy, łąki, strumienie, obłoki — ,
zginiemy na nim! A gdy nam się znudzi
samotność, dobrych poszukamy ludzi,
siądziemy spocząć u wiejskiego proga
i będziem w ciszy chwalić Pana Boga...
A gdy się życie uprzykrzy spokojne,
to cóż nas trzyma? pójdziemy na wojnę,
albo z kupcami popłyniem za morze!

Potem — wróciwszy — siędziem znów w klasztorze;
ty będziesz rzeźbił, póki ci ochoty
starczy do pracy, ja — rękopis złoty
na pergaminie przepisywać będę,
dopóki żywić zechcą mnie, przybłędę,
ptaka bożego, który znów odleci,
kiedy mu słońce wiosenne zaświeci!
Arno pójdź ze mną! —

Arno po chwili wahania:

Ja już w tym klasztorze
życia dokonam...

Wala.

Co cię opętało?
mnichem chcesz zostać?

Arno.

I to stać się może,
chociaż — nie teraz...

Wala po chwili:

Hej! coś mi się zdało,
że to nie klasztór cię trzyma, lecz zamek!
ten złoty dworzec malowany, który
bokiem się wspiera o klasztorne mury!
Dość się tam dziewek pańskich czepia klamek;
przyznaj się, pewno cię która urzekła?
Rzuć ją do licha! — dość tego po świecie!
— a zresztą djabeł jest w każdej kobiecie...
gdy jej się trzymasz, zajdziesz z nią — do piekła! —

Arno.

Nie, to nie dziewka...

Wala.

A więc może pani?
To jeszcze gorzej! Słyszałem coś o tem!
tam pod zieloną wiechą, kędy piłem
z dworską czeladzią — bardzo dobre chłopy! —,
że mieszka w zamku przecudna władczyni...
Mów-że do licha! — piękna-ż jest naprawdę?

Arno mówi obojętnie.

Nie widziałem jej nigdy. Od czasu, jak pan wyjechał na wojnę, — a przed mojem przybyciem to było, dwa lata już temu, — nie opuszcza podobno swojej komnaty, chyba idąc do kościoła, krytym gankiem w murze i z zasłoną na twarzy... Tak mi mówiono; ja nie widziałem jej jeszcze nigdy.

Wala.

Dziwne tu rzeczy o niej powiadają. Dość się nasłuchałem tam pod wiechą... Podobno oczy ma jakieś uroczne i kto ją zobaczy, wnet rozum traci dla niej?

Arno.

Nie wiem.

Wala.

Bywają takie oczy, bywają... Ja to wiem... Pono i kasztelan przez nią oszalał? Przywiózł ją skądś

zdala, nieznaną nikomu i pojął za żonę... Jak jej to? Maruna?

Arno.

Tak pono. — Mnie tu nie było jeszcze, kiedy ją kasztelan brał, na krótko przed tą wyprawą... A teraz nikt jej nie widuje. — Raz tylko podobno pojawiła się w kościele — bez zasłony na twarzy, w dzień jakiś święty — i od tego czasu jeden z ojców, który właśnie był przy ołtarzu, ksiądz Anioł, mszy nieodprawia...

Wala.

Dlaczego?

Arno.

Niewiem. Co mnie to obchodzi!

Wala do siebie:

Boże nas chroń od zarazy i sideł niewieścich!

Arno.

Co mówisz?

Wala.

Nic. Myślałem tylko, że kobiety dobre są, póki się człowiek niemi tylko bawi. Ale życie w to kłaść...

Arno żywo:

Nie mów!... — Urywa.

Wala po chwili:

Arno, kto ona? ta twoja?

Arno

Nie wiem, o co się pytasz...

Wala patrząc nań badawczo:

Z tobą doprawdy coś niedobrego się dzieje! Żyjesz jak we śnie... Chciałbym cię zbudzić...

Arno.

Daj pokój! — nie budź! — ostaw mnie w pokoju!

Wala.

Ciebie coś zżera, coś ci serce gryzie;
ja wiem, ja znam to — i właśnie dlatego
chcę cię ratować...

Arno.

Nie ratuj! — mnie dobrze...

Wala.

Kto ona? powiedz!

Arno.

Mara! sen mój, zjawa...
Tutaj nie idzie zgoła o kobietę...

Wala ogląda się, spostrzega kwiaty.

A więc dla kogo te kwiaty?...

Arno żywo:

Nie tykaj!

Wala.

Tyś nie pod krzyżem położył je, zatem
są dla kobiety przeznaczone! — wyznaj!

Arno gorąco:

Gdybym je rzucił do stóp Marji Panny,
te rozkwitnione dzwonki i dziewanny, —
gdybym uwieńczył niemi jasne skronie,
które tu płoną w cierniowej koronie,
jeszczeby świętszej nie spełniły służby!...

Wala.

Arno! nie bluźnij! — kto ona?

Arno.

Ja nie wiem...

Wala po krótkiej chwili:

A zresztą — co mnie to obchodzi! Słuchaj,
pani czy dziewka — rzucaj ją do czarta!
Twojego życia żadna nie jest warta,
— ty się zabijasz! — przecież ja to widzę!...

Arno jakby mimowolnie:

Nie! — ja dopiero teraz żyć zacząłem!

Wala natarczywie:

Ty mi powiedzieć musisz, co to znaczy!

Tu są szatańskie sprawy, mnie się widzi! —
to urok jakiś na ciebie rzucony!

Arno wznosi głowę.

Więc tak! — rzucony na mnie urok boży,
przez który dusza ma żyje i tworzy!
Chcesz tajemnicę poznać, więc ci powiem...

Wskazuje dłonią na zakryty posąg.

Patrz! to jest całe moje ukochanie,
to mej tęsknoty wieczystej wcielenie
i czarnoksięstwo mojego żywota! —
ta Wniebowziętej postać wyrzezana
w drzewie lipowem...

Wala z mimowolnem zdumieniem:

Co? ten martwy posąg?

Arno.

On dla mnie żyje — i żyć będzie wiecznie!

Wala.

Niech go zobaczę!

Wznosi rękę, aby płótno odsłonić.

Arno.

Nikt go jeszcze dotąd
nie widział... Wala! — dłonie me niegodne
cud ten zdziałały — prawie mimo wiedzy,
za sprawą niebios i anielską sprawą
senne widzenie widną czyniąc jawą!

Ja w tym posągu kocham sen mój złoty,
wcielenie mojej duszy i tęsknoty! —
tu dla mnie wszystko, co cieszy, co boli,
żywi, zabija, — tu me serce bije,
w te u stóp Marji wplątane lilije!

Wala.

Pokaż! — Szybkim ruchem zdziera płótno.

Arno chcąc mu przeszkodzić:

Co robisz! —

Wala spojrzawszy, rzuca się w tył z przerażeniem.

Święte moce nieba!
gdzieś ją ty spotkał?

Arno.

Kogo?

Wala.

Tę dziewczynę! —
Arno! ty znasz ją?

Arno zdumiony:

Ja sen mój wcieliłem,
widzenie, które Pan Bóg zesłał na mnie...

Wala po chwili wybucha śmiechem.

Ha, ha! — sen tylko! — to tylko widzenie,
które po nocach nawiedza rzeźbiarza...
A mnie się zdało... Głupi jestem, głupi!
jeszcze pamiętam...

Cofa się, nie spuszczając oczów z posągu.

Arno zmieszany jego słowami:

Lecz co to, na Boga?

Wala.

Zasłoń ten posąg! — Zapomnieć nie mogę...
Zasłoń! co rychlej! —

Arno podejmuje płótno i zasłania posąg.

Uspokój się, bracie, —
co ci się stało?

Wala siada i oddycha ciężko:

Nic, — złudzenie jeno...
Nic już...! — to tylko, żem darmo po świecie
gonił, chcąc uciec przed swojem wspomnieniem!
Ha, ha! wspomnienie włóczęgę dognało
tutaj... Za mało pił włóczęga, mało!
i zląkł się — trzeźwy — jakiejś głupiej zjawy...

Po chwili — znacznie spokojniej.

Ten posąg dziwne przypomniał mi sprawy...
Widzisz, dziś trudno mi na miejscu siedzieć,
ciągną mnie lasy szumiące i pola —
gna mnie na światy, gna! ta moja dola,
a przecież — gdyby nie dziewczyna, Boże!
byłbym ukończył Teologję świętą
i zamiast błądzić, jak goljard ubogi,
przez góry, miasta, zapylone drogi,
byłbym dziś księdzem i mieszkał w klasztorze...
Djabli nasłali mi dziewkę przeklętą!
i dzisiaj...

Arno.

Wala!

Wala zrywa się i otrząsa.

A może to lepiej,
że jestem dzisiaj, jako ptak ten — wolny!
Zdechnę pod płotem? — tak mi się podoba,
i nic nikomu do tego! — Pluń, bracie,
na wszystkie dziewki! — Gdzież ten dzban, u licha?
Próżny — do kroćset...! A wiesz, piękna była
i złotowłosa... Ani kropli wina? —
Taka podobna... Pójdź ze mną pod wiechę!
grosz mam — ostatni! — Prawie dziecko jeszcze,
a tak wabiła... Czart ją wziął już pewno!
Jagna... hej! Jagna...! Pić mam dziś ochotę,
aby zapomnieć... A te włosy złote...
Z niej tam już pewno djabeł ma pociechę...
Licho mnie zwiodło do tego klasztoru,
gdzie straszą widma... Lepiej w głuchym boru —!
Głupstwo! Pójdź ze mną! — pod wiechę! pod wiechę!
a potem — na świat! —

Zwraca się ku wyjściu.

Arno powstrzymuje go, zmieszany.

Stój! stój jeszcze chwilę...

Wala.

Czy chcesz iść ze mną?

Arno pogląda z wahaniem na niego, potem na posąg.

Nie, — to nie możliwe,
ale...

Wala.

Więc czego? — Puszczaj mnie do licha!
Tutaj się lękiem i smętkiem oddycha!
Ja — by żyć — muszę mieć słońce nad głową,
lasy i wichry... Inaczej — na nowo...
Do kroćset djabłów! — A ty gnij tu sobie,
kiedy ci dobrze w tym spleśniałym grobie,
gdzie widma chodzą... Ciesz się widzeniami,
któremi szatan twoje oczy mami!

Wybiega.

Arno po wyjściu jego stoi przez pewien czas, jakby niepewny, co począć — w głębokiej zadumie. Nagle wznosi głowę, jakby myśl go jakaś uderzyła — i powtarza z przerażeniem:

Szatan...?

Po chwili wstrząsa głową i uśmiecha się. — Wolnym krokiem podchodzi ku oknu, siada na brzegu ławy, i — naprzód pochylony — wyciągnąwszy rękę, odsłania nieco płótna, okrywającego figurę i wpatruje się w nią długo — tonąc zupełnie w tym widoku.

Dzwony klasztorne zaczynają zwolna bić na „Anioł Pański"...

Arno prawie mimowiednie osuwa się na kolana i przyciszonym, z jękiem dzwonów zlewającym się głosem, rozpoczyna modlitwę.

Anielska przyszła do Panny nowina,
że z Ducha pocznie i porodzi Syna;
błogosławiona ta święta godzina!

Bądź pozdrowiona, Panienka Maryja,
Ty najśliczniejsza, przeczysta lilija;
wąż się zdeptany u nóg Twoich zwija...

Bądź pochwalona Matka i Dziewica!
stopy Twe wsparte na rogach księżyca;
jak księżyc błyszczą jasne Twoje lica...

Kochana...

Pochyla się jeszcze więcej; już tylko szept słychać niewyraźny... Po chwili i dzwony milkną; jest głęboka cisza na świecie. Zorza wieczorna dopala się na niebie.

W progu staje O. Hilgier opat klasztoru, stary, wysoki zakonnik, o dobrotliwej ale poważnej twarzy. — Patrzy przez chwilę na pochylonego rzeźbiarza, a wreszcie mówi, nie ruszając się z miejsca:

Pokój z tobą, mój synu...

Arno zrywa się żywo; teraz dopiero spostrzegł przybyłego.

Co to?... co to?

O. Hilgier postępuje parę kroków ku środkowi izby.

Powracając z pacierzy, zaszedłem, aby ci przypomnieć, że jutro jest święto Wniebowzięcia Najświętszej Panny Maryi...

Arno drgnął, — patrzy na księdza niemal z przerażeniem.

Jutro... już — ?

O. Hilgier.

Tak. Mamy po raz pierwszy odsłonić wielki ołtarz w naszym kościele, którego przyzdobienie za bożem snadź zrządzeniem tobieśmy powierzyli.

Arno przesuwa dłoń po czole.

Tak... tak..., jutro...

O. Hilgier.

Wszystko jest już gotowe, — jeno brakuje nam jeszcze głównej, środkowej postaci: Królowej Anielskiej w niebo się unoszącej... Dałeś przyrzeczenie, że dzisiaj będziem ją mieli.

Arno po krótkiem wahaniu zwraca się i wskazuje obiemā rękami figurę, nawpół odsłoniętą.

Oto jest — skończona.

O. Hilgier.

Bogu niech będą dzięki najwyższemu! —

Pochyla się i osłania dłonią oczy, aby lepiej widzieć.

Stare oczy moje w zmierzchu nie dobrze już widzą; spostrzegam jednakże dłonie wzniesione — i twarz, zwróconą ku niebu... Anieli ci ją chyba we śnie ukazali, tę przecudną, świętą twarz Maryi.

Arno.

Tak jest, anieli mi ją ukazali...

O. Hilgier.

Jest taka piękna, że aż znajomą mi się być wydaje. Nie mogła Najświętsza Dziewica wyglądać inaczej! Boże cię błogosław, mój synu. Godnie dzieła dokonałeś — na chwałę Jego i świętej Matki Chrystusa!

Bierze w dłonie głowę Arny i ściska.

Arno przyklęknąwszy u stóp księdza, z wybuchem:

Ojcze! mój ojcze! —

O. Hilgier.

Co to jest, mój synu? Przestraszyłeś się mego wejścia, a teraz ból jakiś drga w twoim głosie, który dzisiaj snadź radością jeno rozbrzmiewaćby winien?

Arno powstaje i w milczeniu opiera się o framugę okna.

O. Hilger podchodzi ku oknu i siada w karle.

Nie mówię tego, aby cię w dumę wzbijać; owszem, ukorzyć się powinieneś przed Panem i skromnem sercem Mu dziękować, że dając ci zdolność przedziwną, pozwolił służyć sobie w tak piękny i wzniosły zaiste sposób. — Ale to nie grzech, jeśli się rozraduje wdzięczne serce w tobie, żeś obraz doskonały Najświętszej Panienki na bożą chwałę uczynił! — A pomyśl tylko, jakie szczęście Bóg dać ci raczył! — Jutro ta postać, dłońmi twemi wyrzezana, święconą wodą obmyta i do dostojeństwa świętego wizerunku podniesiona — w jarzących świec otęczy, w kadzideł obłokach oczom ludu się ukaże i oczy ludu i ludu serca ku górze, ku górze podniesie! Jutro...

Arno z mimowolnym lękiem:

Mój ojcze..., czy to jutro — już — koniecznie...?

O. Hilgier ze zdumieniem:

Nie pilnoż ci onej chwili doczekać?

Arno po chwili — głucho:

Boję się jej...

O. Hilgier ze zdumieniem:

Ty się... boisz —?

Arno po chwili walki wewnętrznej:

Byłem taki szczęśliwy, rzeźbiąc tę postać Najświętszej Dziewicy, — szczęśliwy, jak nigdy, nigdy w mojem życiu!... Wszystko, czegom doznał w tych paru miesiącach, tak się z nią związało: pokochałem ją, — życie moje całe, całe umiłowanie jest tutaj... — Urywa.

O. Hilgier.

To dobrze, żeś Marji oddał swoje serce...

Arno.

Tej jasnej, tej cudnej oddałem je postaci... I teraz lęk mnie ogarnia na myśl, że mi ją zabiorą, tę Wniebowziętą, — że jutro — wszystkim ludziom — w wielkim ołtarzu... Tak mi się zdaje, że z nią razem odejdzie coś odemnie: szczęście jakieś niewypowiedziane, łaska boża niepojęta...

O. Hilgier wznosi głowę i osłaniając znowu oczy dłonią w zapadającym zmierzchu przygląda się figurze.

Arno po chwili milczenia — nieśmiało:

Ojcze..., czy nie możnaby... dni jeszcze kilka...?

O. Hilgier prawie surowo:

Nie. To myśl doprawdy dziecinna i skarcićbym cię za nią powinien. Zresztą — czyż o ciebie tutaj

idzie? Jutro święto Wniebowzięcia Panny Marji i jutro wielki ołtarz musi być odsłonięty, zwłaszcza że dzień to podwójnie uroczysty... Dostojnego gościa witać będziemy jutro w kościele... Szlachetny rycerz Kuno, zamku tego pan, znać dawał przez posły, że powraca jutro do domu — po wojnach skończonych, na święto pokoju...

Arno.

Na święto pokoju...

O. Hilgier.

Tak, — boży pokój ogłoszono po świecie... Treuga Dei... Benedictum sit nomen Domini Dei nostri — in saecula... saecula... Pokój tym, co polegli — i dla tych pokój, co przy życiu zostali...

Arno jakby do siebie:

A dla mnie? dla mnie?... Czemuż ja jeden pokoju znaleść nie mogę?

O. Hilgier.

Boś młody jest jeszcze i szukać go nie umiesz... A przecież taki blizki jest ciebie...

Po chwili milczenia:

I ja niegdyś — za młodu... na koniu, w jasnej zbroicy... Grzmiały surmy, szczękało żelazo... Dawny to czas... Z wielkiego rodu pochodzę... Burzyła się we mnie dumna pańska krew... I wszystko przeszło jak sen... Panu Bogu na ofiarę!

dostatki i życie, zaszczyty... Mnich jestem dzisiaj pokorny i cichy... Pacem Tuam da nobis, Domine... Światu całemu i sercu w piersi człowieczej...

Arno.

Amen!

O. Hilgier zwraca nań oczy i zwolna z dobrotliwym uśmiechem dłoń ku niemu wyciąga.

Synu mój! — jednać jest tylko do prawdziwego pokoju droga! — Ty nie mówisz mi wszystkiego. — Ja widzę jednak, że serce w tobie kołace i uciszyć się nie może...

Arno półgłosem:

Tak jest, mój ojcze...

O. Hilgier.

Skarżyłeś się przed chwilą, że ci ukochany posąg Marji zabiorą. Nie chcę dociekać teraz, co w tej myśli było grzesznego, a co z miłości bożej płynęło, — ale, synu, wszakże ty całe życie u stóp Wniebowziętej możesz przepędzić! — Nie zabiorą-ć Jej, nie zabiorą synaczku, jeśli zechcesz tylko. I pokój boży będzie z tobą i sercem twojem — na wieki!

Arno patrzy nań pytająco.

O. Hilgier.

Czyś już zapomniał? Przed paru miesiącami, w ja-

sny wiosenny dzień, kiedyś do tej oto pracy miał się zabierać, ślub przedemną uczyniłeś...

Arno.

Pamiętam ten dzień, jasny, ciepły, słoneczny... A później noc księżycowa..., noc łaski... Modliłem się na klęczkach Bogu o natchnienie — i wtedy...

Drgnął; cofa się ku oknu, nie spuszczając oka z figury, w mroku zaledwie już widnej.

O. Hilgier.

W dzień on mówiłeś tu do mnie: Jeżeli Bóg pozwoli dzieła godnie dokonać, nie chcę już więcej niczego! — Jeżeli da mi natchnienie, w zamian resztę życia Najświętszej Jego Rodzicielce poświęcę! — Synu mój, za bożą wolą dzieło twoje godnie skończone!

Arno pochyla głowę.

O. Hilgier powstaje i mówi poważnie:

Jutro — w dzień Wniebowzięcia, do powitalnej uroczystości, do radosnej chwili odsłonięcia ołtarza i trzecie święto dołączymy: święto twoich narodzin dla Boga. Czy nie chcesz, jutro, spełniając ślub, oblec sukienki zakonnej?

Arno z przerażeniem:

Jutro...?

O. Hilgier.

Tak.

Arno.

Ojcze...! nie, nie! — Jeszcze dni bodaj kilka...

O. Hilgier zwraca się ku niemu.

Znowu słyszę to samo! Kilka dni... Czyż byś się wahał ślubu dopełnić i pokój uzyskać?

Arno.

Nie, ojcze, — ja chcę, ja pragnę..., ale jeszcze nie teraz, nie dziś, nie jutro...! Ojcze! nie wiem, czy godny już jestem. Nie wszystko jeszcze we mnie...

O. Hilgier.

Dziwne i poplątane to wszystko, co mówisz. To jedno wyrozumieć tylko mogę, że myśli i uczucia ważą się w tobie, jak ptaki, jak ptaki! co gniazda pod wieczór znaleść nie umieją! Bóg niech cię ma w swojej opiece, a pokój Jego święty niechaj będzie z tobą! — Patrz na to niebo czyste i niezamącone! Wsłuchaj się w tę wielką ciszę wieczorną na ziemi! Leci ponad światem, — szerokie ma skrzydła, — jak cały widnokrąg szerokie... ta boża cisza błogosławiona. Z daleka idzie — za słońcem goniąc upalnem — z za borów gdzieś, z za miast, z nad mórz, których nieznamy, z krajów, o których myśmy może nie słyszeli! Bóg nam ją zsyła — na pocieszenie, na ukojenie, na uciszenie serca naszego! Niech się tak stanie! — Przyjąć ją tylko trzeba, przyjąć — tę ciszę bożą! — Niech się tak stanie! — Dobrzeć z nią jest i błogo. Wiem, że jest

dobrze. — Z wielkiego ja rodu jestem — i niepokoje mnie gnały po świecie, ażem-ci nalazł przystań spokojną, ciszę niezmąconą, której i tobie życzę, mój synu..., sercu twojemu, sercu młodemu, które się lęka jeszcze i pragnie i niepokoi...

Kładzie mu dłonie na schylonej głowie.

Arno.

O! gdyby chciała, — o! gdyby mogła ta cisza zamieszkać w mem sercu...

O. Hilgier siada znowu.

Bóg twoje serce uciszy, gdy mu je oddasz całe. — Ale tobie snadź świata żal jeszcze!

Arno.

Nie, nie, nie! po stokroć nie! Nie świata... Tu życie moje całe, tu wszystko — ale... Ojcze! — przed chwilą, nim weszliście tutaj, był u mnie człowiek, przyjaciel z chłopięcych jeszcze lat, towarzysz wędrówek moich młodzieńczych, — kusił mnie — zielenią łąk, słońcem i poszumem jabłoni na wiejskich miedzach, — na świat mnie wołał, na szeroki jasny świat, — a ja —

O. Hilgier.

A ty?

Arno.

Pozostaję tutaj. Ciszy chcę!...

O. Hilgier.

A więc?

Arno po chwili — głucho:

Ten człowiek jednakże przyniósł mi niepokój...

O. Hilgier.

Nikt nam niepokoju z zewnątrz nie przyniesie, — obudzić go tylko można w człeku, gdy go tam w sobie chowa...

Arno.

A więc zbudzono we mnie niepokój, — jednem krótkiem słowem... Zbudzono wątpliwość... myśli...

Po chwili.

Ojcze... zapytać cię chciałem...

O. Hilgier.

Słucham.

Arno.

Znacie świat, w księgach jesteście uczeni i u Boga na służbie, — powiedzcież mnie, prostemu rzemieślnikowi, zali od Boga wszelkie natchnienie pochodzi, tylko od Boga? — On jeden zsyła na człowieka to wszystko, co piękne, święte i anielskie? — Ojcze mój! wszak prawda?

O. Hilgier.

Tak. Jeśli godzien jest człowiek.

Arno.

Powiedz mi, ojcze, — Bóg widzenia daje?
Bóg ucieleśnia tę wielką tęsknotę
za tem, co jasne i czyste i złote?
On we snach ludziom pokazuje raje
i szczęście zsyła na ten padół łzawy,
snom dając pozór świętej, żywej jawy?

O. Hilgier.

Ja tak wierzę, synu.

Arno.

I Bóg to sprawić może, iż zjawisko,
sen, czy widzenie — krwią załętni żywą
i jako złote i świetlane dziwo
stanie przed okiem człowieczem — tak blizko,
że szczęście swoje ma się w dłoni prawie,
i snem się żyje, jakoby na jawie?

O. Hilgier.

Święci miewali różne objawienia...

Arno znowu na kolanach:

Ojcze, mój ojcze!
ale ja świętym nie jestem...
O! gdyby wygnać ten niepokój z serca,
stłumić ten dziwny lęk! —
W bożej jestem ręce,
bożym płomieniem me serce się pali
i boży na mnie spada sen —,
a jednak nie znam bożego pokoju!

Przez dzień
żyję jak we śnie,
przez mgłę się na świat patrzę i na ludzi,
a sen dopiero przynosi mi jawę,
we śnie natchnienie białe ku mnie spływa
w drżących promieniach miesiąca —
i staje blizko,
ucieleśnione, widome i jasne;
tak w twarz mu patrzę, jako tobie, ojcze,
natchnieniu memu i złotemu szczęściu,
którego tknąć się boję dłonią,
aby nie pierzchło odemnie!
A gdy przeminie
błogosławiona, święta noc zachwytu,
a gdy widzenie jasne się wymyka
i z promieniami księżyca uchodzi
kędyś w toń nieba,
ginąc w porannych dzwonów srebrnym płaczu:
ojcze! — patrz! tutaj jest moje natchnienie!
Ja je zaklinam — z modlitwą na ustach,
w liniach i kształtach wiążę je, — to drzewo,
co jutro stanie w święconym ołtarzu,
zmuszając, aby moim snem się stało!
I oto sen mój przyjął kształt i ciało —
i dzisiaj
ja drżę, że razem z posągiem Maryi,
który mi mają zabrać do kościoła,
znikną widzenia,
zniknie to wielkie moje szczęście senne,
w ten dzień mi dane,
— mnie niegodnemu,

kiedym przed pracą modlił się do Boga
o iskrę świętą, — w cichą i wiosenną
noc księżycową!

O. Hilgier.

Synu! i o cóż ci idzie? Jeżeli Bóg taką wielką i niepojętą łaskę zesłał na ciebie, jeżeli dać ci raczył widzenia, ażeby słabej dłoni twojej dopomóc, to dziękować Mu tylko winieneś, niczego nad wolę Jego świętą nie żądając! — Grzeszysz zaiste, pragnąc przedłużyć chwile natchnienia bożego. Dzieło twoje skończone już — i słuszna, że duch, którego ci Bóg we śnie pokazywał, opuści cię teraz, powracając do niebieskiego domostwa swojego.

Arno.

Ja nie chcę, ojcze! raczej wszystko inne!
raczej niech dusza moja wyjdzie ze mnie!
bo to jest życie moje!
to więcej dla mnie jest, niż życie!
Ojcze! do grzechu przyznam się przed tobą,
do winy, która niepokojem
napełnia duszę moją:
ja kocham moje widzenie,
zda mi się, więcej, aniżeli Stwórcę,
który mi je zesłał,
więcej niżeli onę Wniebowziętą,
którą rzezałem nie dla Pańskiej chwały,
ale dla serca mojego!
i w tej postaci Najświętszej Dziewicy,
w dziele rąk moich

widzę — strach wyznać! — nie niebios Królowę,
ale tę zjawę jedynie
miesięcznych nocy,
która mi życiem się stała!

O. Hilgier.

Nieszczęsny, nieszczęsny człowiecze!

Arno.

Gdy się chcę modlić do Panny Maryi
i przed figurą oną skłonię głowę,
to ja się modlę do mego natchnienia,
do duszy mojej,
do miesięcznego srebrnych nocy cienia
i takie słowa szepcę, które — zda się —
grzechem są prawie,
chociaż to wszystko jest mi takie święte
i takie czyste!

O. Hilgier.

Szatan to kusi głupie serce twoje,
szatan co czycha wieczyście
i z niepojętej łaski bożych darów
truciznę gotuje dla człeka,
gdy mu się podda!

Arno.

Ojcze! litości! Poraz drugi słyszę
szatańskie imię, a przecież widzenie
Pan Bóg mi zesłał!

O. Hilgier.

Tak! — ale widno za szatańską sprawą
ty dary boże obracasz na marne,
bo w dumie twojej rąk swych nędznych dzieło
stawiasz nad Piękno niebieskie prawdziwe!
i tyś anielskie widzenie pokalał
grzeszną miłością swoją!
Czas już, by Pan Bóg odjął ci na zawsze
łaskę tę, której tyś uczcić nie umiał!
Grzech to największy, jeśli na świętoście
ziemskie się oczy podnosi!

Arno.

Ojcze! mój ojcze!

O. Hilgier.

Teraz ja widzę, żeś ty jest naprawdę
niegodny zakonnej sukienki!

Arno.

Jeślim ja zgrzeszył, ojcze! ty mnie ratuj!
powiedz, co czynić mam! wspomóż me siły,
bo nie mam mocy sam zawładnąć sobą!

O. Hilgier.

Ku Bogu serce wznieś! tylko ku Bogu!
Odepchnij niecne szatańskie podszepty,
które twą duszę nierozumną kuszą
i czyń pokutę!

Arno.

Gotowy-ć ja jestem, ojcze!

O. Hilgier.

Złóż na ofiarę Bogu szczęście swoje,
boś ty je tylko miał dla chwały bożej!
i miasto bluźnić, poddaj się w pokorze
woli niebieskiej, która odtąd, mówię,
nie będzie widzeń zsyłała na ciebie!
Dziś noc ostatnia, którą tu przepędzisz
w tej swojej celi!
Widzę tam kwiaty, rzuć je pod Chrystusa
stopy i światło zapal, i tu krzyżem
legnij na twardych kamieniach posadzki!
Tak noc przepędzisz, — a jutro, o świcie
bracia zakonni wezmą tę figurę
i na ołtarzu postawią, gdzie woda
święcona w święty ją obraz przemieni!
I odtąd każdą noc ty będziesz krzyżem
leżał w kościele przed świętym obrazem,
któryś wyrzezał — i prosił Maryję
o wstawiennictwo, dopóki ci serca
Bóg nie oczyści, iż stanie się jasne,
jako przejrzysty kryształ.
Wtenczas dopiero pokój na cię zejdzie
i wtenczas przyjdziesz do mnie, do klasztoru
przywdziać zakonną sukienkę...
Tak będzie.

Arno.

Słucham...

O. Hilgier.

Bóg niech cię ma w swojej opiece...

Patrzy jeszcze przez chwilę na schylonego Arnę, poczem zwolna wychodzi z izby. — Mrok zapadł; jest już prawie zupełnie ciemno.

Arno wznosi się po jakimś czasie i mimowolnie idzie wypełnić rozkaz księdza. Zbliża się do kominka, bierze z okapu kaganek i zapala, — następnie bierze kwiaty ze stołu i idzie pod krzyż. Przy klęczniku staje — duma. — Wschodzący księżyc pada w tej chwili przez okno i oświeca jego twarz. Arno wznosi głowę; z dłoni wypada mu kaganek i gaśnie. Jak senny postępuje parę kroków ku rozświetlonemu księżycem oknu. Przed samem oknem kwiaty wysuwają mu się z ręki, — on sam osuwa się na kolana, opadając twarzą i rękoma na ławę. — Długa cisza. Światło księżyca lśni coraz jaśniej. —

Po pewnym czasie — w zupełnej ciszy — na gzymsie okna ukazuje się biała postać niewieścia, idąca z prawej strony — w jasnej smudze światła księżycowego. Ręce ma wyciągnięte, twarz wzniesioną ku górze, oczy zamknięte, usta rozchylone nieco. Rozpleciony złoty włos spływa jej falą po barkach. Stąpa jak we śnie — bez szelestu, zdaje się raczej być niesioną nieziemskim jakimś powiewem.

Arno wznosi głowę, jakby ze snu się budząc, i nie ruszając się z miejsca, woła półgłosem, prawie sennie, bez zdumienia, jeno z bezbrzeżną jakąś miłością:

Ijola!

Ijola na dźwięk wzywającego ją głosu drgnęła, dłonią chwyta za uszak okna, rozwiera oczy. Ciche, głębokie westchnienie, — pogląda na rzeźbiarza u swych stóp, — na ustach błyska uśmiech błogosławiony.

Ja jestem...

Arno wznosi się na kolana.

Przybywasz znowu, znowu mi się jawisz, —

na gwiazdach widzę cię znowu i kwiatach,
o, śnie mój złoty!...
Czy ty przychodzisz mnie żegnać?

Ijola zsuwa się zwolna z okna ku niemu i mówi cicho, sennie:

Słyszałam kędyś w cieniach nocy
głos twej tęsknoty,
kwiaty mi one białe zapachniały,
które mi oto pod stopy się ścielą —
i oto jestem przy tobie! —
Tu kwiaty, kwiaty, i lilije...

Arno.

Tyś najwonniejsza, tyś jest z nich najbielsza,
kwiecie mój dziwny,
gdzieś w czarodziejskim wyrosły ogrodzie,
gdzieś na błękitnym łanie firmamentu,
co złotym gradem gwiazd okwita
w sennych godzinach szczęścia! —
Długo czekałem...

Ijola.

Długo?
Czyż to nie przed chwilą
sen mnie ogarnął — przy tobie — i oczy
mgłą mi omroczył, gęstym, cichym cieniem,
z którego przy tobie
wykwitam znowu — szczęśliwa?
Tyś czekał?

Arno.

Dzień cały! —
Noc już późna —
i już myślałem, że nie zstąpisz ku mnie,
tak jako zwykle,
śnie mój szczęśliwy!
Popatrz!
gwiazdy złociste wozu już się chylą
na nieboskłonie
i świt wnet wzejdzie,
świt,
który mi bierze ciebie
odgłosem dzwonów i szarym pobrzaskiem
dnia wschodzącego!
O! jeśliś dzisiaj zeszła raz ostatni,
jeśli mnie żegnać przychodzisz,
ty biała!
ty złotowłosa! —
zabierz i życie moje razem z sobą,
zabierz, o jasna! —

Ijola.

Smutek mnie całą ogarnął, gdyś mówił.
Lękam się, — powiedz, czemuś mnie przestraszył?
Jestem przy tobie...

Arno.

Jesteś... Niech chwila ta wiecznością będzie,
niech ta godzina nigdy się nie kończy!

Jesteś, wieczorna, święta gwiazdo moja, —
jesteś...!
Jakże ja tęsknię za tobą! —
Od rana żyję myślą o wieczorze,
o cichej nocy,
gdy zejdziesz ku mnie, jasna,
ty — sen mój złoty,
złote widzenie boże!
Kwiaty całuję, które twoja stopa
biała trąciła,
na ścianie szukam twego cienia.
który malował mi księżyc,
patrząc na szczęście moje niezmierzone!
ty moja!
Przymykam oczy, by cię widzieć
duszą tęsknoty mojej wielkiej!
Wołam cię, wołam tem złotem imieniem,
któreś przyniosła mi tutaj ze sobą,
a którem snadź cię nazwała dziecina
jakaś niewinna,
gdyś jej się we śnie biała ukazała,
lub kwiat na łące,
co płakał rosą,
widząc, że spływasz w promieniu księżyca
i lecisz dalej! —
Wołam: Ijola! —
Ijola...!
Dusza cię moja całuje tem słowem,
bo usta nie śmią — ni oczy!...
Ijola!
— słowem, co jest tak podobne

do ciebie samej!
Ijola...? —
Nie wiem, kto jesteś, ani wiedzieć nie chcę, —
dość mi, że spływasz ze srebrzystym blaskiem
do izby mojej,
aby wnieść do niej szczęście i natchnienie!
że imię twoje w kraju duchów znaczy:
życie, pokój i światło! —
dość, że w anielskość twoją świętą wierzę!
Ijola! —
słyszysz?
czy słyszysz głos mojej tęsknoty,
głos miłości,
który cię wzywa po dniach całych,
złota! moja! Ijola! —
słyszysz?

Ijola.

Tak, — słyszę...
Zda się, w noc jakąś spowita i ciszę,
w życiu, którego nie znam zgoła,
trwam przez dzień cały,
póki się księżyc nie rozkwieci biały
i póki głos twój nie zawoła,
bym przyszła do ciebie...
I wtedy przychodzę
po gwiezdnej drodze,
po tęczy miesiąca,
co błyszczy na niebie,
przychodzę do ciebie —
tęskniąca!

Arno.

Błogosławiona i złota,
ty — anioł boży!

Ijola.

Czyż ja nie jestem — twoja tęsknota?
czyż mnie wołanie twoje nie tworzy?
Nie wiem nic o sobie, —
w jakiejś nicości spoczywam, jak w grobie;
ty mi rozpalasz gwiazdy na błękicie
i twoja miłość snadź mi daje — życie!

Arno.

Błogosławiona! tyś to życie moje,
tyś moje szczęście!
ty święta!

Ijola.

Jestem tem wszystkiem, czem ty mnie nazywasz,
i tylko tem jestem!
Czuję, że imię, jakie mi nadajesz,
chociażby w myśli,
stwarza to we mnie, co znaczy!
Nadaj mi piękne imiona,
bo chcę być szczęściem twojem!

Arno.

Jesteś niem, miesięczna!
przeczysta pani!
więcej mi jesteś, niż rzec może słowo!

Odkąd raz pierwszy w jasną księżycową
noc tyś tu zeszła, do tej mojej celi —
i przebudzona krzykiem mej tęsknoty,
która poznała, żeś to ty jest, złoty
anioł, którego przez lata czekała,
ty — zjawa mego szczęścia biała
i dusza moja — ,
od tej najświętszej i błogosławionej
chwili w me życie tęcze się wplatają
i biali anieli
pył mi słoneczny sypią na powieki!

Ijola.

Dobrze ci ze mną?

Arno.

Wznosisz mnie, uświęcasz!
ty moc mi dajesz tworzenia!

Ijola.

Tworzenia — czego?

Arno.

Jak ci to powiedzieć?
Widzisz, w człowieku jest takie pragnienie,
którego w kraju, skąd ty snadź przychodzisz,
w kraju ziszczenia wszelkich tęsknót —
nie znają.
Człowiek chce piękna, człowiek chce świętości,
a gdy jej nie ma, to jej obraz tworzy —
z drzewa lub farby lub z lotnego słowa,
a zawsze z swojej tęsknoty...

Tyś mej tęsknoty stała się wcieleniem,
z ciebiem utworzył to, czem dzisiaj żyję:
tę wniebowziętą Panienkę Maryję!

Ściąga zupełnie płótno z figury, na którą teraz właśnie księżyc pada.

Ijola z zachwytem:

Jakże jest piękna!

Arno.

To ty jesteś sama!
Z światła księżyca jesteś mi zrodzona
i twego łona
zaiste ziemska nie dotknęła plama,
więc Bóg mi tego za grzech nie poczyta,
żem ja Najświętszej Jego Rodzicielce
dał twoje rysy!
Ja nawet wierzę, iż On zesłał ciebie,
aby mnie w pracy wspomóc...
Powiedz, przysłana jesteś mi od Boga?

Ijola.

Nie wiem..., lecz dziwna.... napadła mnie... trwoga..
Tyś Marję do mnie uczynił podobną?

Arno.

Czyż większe piękno jest gdzie na tej ziemi?
czyż jest co w świecie czystszego?
Ja ciebie dotąd myślą nie skalałem,
nie wierzę nawet, abyś była — ciałem!

Kiedy się jawisz na oknie, jak biały
sen księżycowy,
stoję, jak dziecię, nieśmiały
i płakać gotowy,
i lękający się dłoni wyciągnąć,
powiedzieć usty, że kocham... że kocham!

Ijola.

Kochasz...

Arno.

Ja tobą żyję! —
Oczy się moje obłąkały tobą
i na nic więcej patrzeć już nie mogą!
Czy ty nie czujesz tęsknoty mych oczu?

Ijola.

Twe słowa takie dziwne są, tak poją...
Drżę, gdy ich słucham.

Arno.

Czy im zmilknąć każesz?

Ijola.

Mów... Twoje słowa są takie, jak kwiaty...
i ja je kocham.
A widzę każde twoje słowo
wpierw, nim do uszu mych doleci...
Na wargach twoich je widzę — tych krwawych...
Ty usta masz takie czerwone...

Arno.

Do stóp twych przylgnąć pragną usta moje!

Ijola.

Stopy me białe i bose...
Zziębły mi stopy na liljach oparte.
...A usta twoje muszą być gorące...

Arno.

Płomień mam w ustach, który byłby zdolny
spalić twe stopy, do lilij podobne...
Ja nie śmiem przeto twoich stóp całować!

Ijola.

Ty obraz Marji uczyniłeś ze mnie...
Tak dziwnie mi dzisiaj na sercu...
— Czyś to ty mówił przed chwilą,
że dziś ostatni raz jestem przy tobie?

Arno.

Nie, nie! — nieprawda! Jeślim tak powiedział,
to niechaj słowa moje zczezną marnie,
jak dym rozwiany!
Ty moja jesteś, moja! moja!
na zawsze! — ty piękna!

Ijola.

Ja nie wiem... Lęk mnie jakiś zdjął w tej chwili...
Zimno mi znowu...
Rwie mnie coś, porywa precz...

Czy ty nie możesz tak zrobić,
żebym ja była zawsze tu, przy tobie?
Straszno mi szarej nicości,
w którą powracać muszę.

Arno.

Jeśli cię miłość wielka wstrzymać może, —
to zostań!
Jeśli tęsknota i wielkie pragnienie
mogą twą zjawę przedłużyć, utrwalić, —
to zostań ze mną!
Oczy cię moje pragną i ramiona,
pragnie cię cała duszy mej istota,
o, błogosławiona!
o, święta! o, jasna! o, złota!
o, piękna!

Ijola.

Mów jeszcze! — słyszeć chcę twe słowa,
nie! chcę je widzieć na tych wargach twoich,
od których oczu oderwać nie mogę...
Tak drżą twe wargi...!
Palcami chciałabym ich dotknąć
i czuć, jak drżą...

Arno.

Kochana!

Ijola.

I głos twój zadrżał...
Wstrząsnął powietrze i tak je rozognił...

Czuję twe słowa tu, na ustach moich —
i głębiej — w piersi.
Palą mnie, oddech tłumią i rozkoszną
dają omdlałość... Tak boli...
Gorąca fala bije z ust twych na mnie...
Śniłam coś... nie wiem.. Każ mi śnić; ja słucham...
Tak drżą me piersi...
Czy widzisz, jak białe moje piersi drżą? —

Arno.

Jeśli to myśl ma — mimowolna...
jeśli pragnienie, któregom nie zdolen
przytłumić...
Przebacz mi, jasna! przebacz!...
— Jakże ty piękna jesteś! —

Ijola.

Dobrze mi przy tobie...
Błyszczą ci oczy pod czarnemi brwiami, —
czoło masz białe... wysokie...
— Co ci mam przebaczyć?

Arno.

Że kocham...

Ijola.

Kochasz?

Z lekka, z wolna wyciąga dłonie i kładzie na czole rzeźbiarza.

Arno przymyka powieki.

O tak, o tak! —

4*

Niech zginę, czując twoje dłonie
na oczach moich...

Ijola.

Drżą moje palce...

Arno.

Nie cofaj ich jeszcze!
Śniłem o rękach twoich na mem czole!
i dziś je czuję — miękkie — ciepłe — żywe...
Ijola!

Ijola.

Mój...

Arno.

Jeśliś jest duchem, który przybrał ciało:
nie odchodź! ziść się! uczyń mnie szczęśliwym!
jeśliś sen tylko...

Ijola cofając sie nieco:

Ja nie wiem, czem jestem, —
ale mam usta, które... ust twych... pragną...

Arno powstaje i wyciąga ręce, aby ją objąć.

W tejże chwili poczynają zwolna bić klasztorne dzwony na jutrznię.

Ijola na pierwszy dźwięk dzwonów mieni się na twarzy; oczy jej przymykają się zwolna, rysy zastygają w jakiemś pół-bolesnem zachwyceniu, ręce bezwładnie opadają wzdłuż sztywnej postaci.

Arno widząc dokonywującą się tajemnicę, cofa się w tył niepewnym, chwiejnym krokiem, oszołomiony jeszcze miłością.

Księżyc, który przepłynął był tymczasem po sklepieniu niebieskiem, oświeca teraz lewą ścianę wnęku i ławę. Dzwony biją ciągle.

Ijola nie otwierając już oczu, obraca się powoli twarzą do księżyca, — automatycznie wyciąga ręce, dotyka niemi ściany, następnie wspiera się o nią plecami, wstępuje na ławę, z niej na okno i wychodzi, podobnie jak była przyszła, twarzą ku księżycowi zwrócona.

Arno patrzy przez chwilę za nią bez słowa i ruchu, nareszcie zatacza sie, jak pijany, i pada w to samo miejsce, w którem zastało go było zjawisko.

Dzwony milkną, — po pewnym czasie szary obrzask dnia wdziera się przez okno do izby.

W kościele słychać poranny **śpiew mnichów:**

(Na nutę: Omni die — dic Mariae...)

Panno święta,
niepojęta,
śliczna Gwiazdo zaranna!
już anioły
w chór wesoły
pieją Tobie: Hozanna!

Ponad chmury
tam w lazury
już ulatasz — w niebiosy!
Gwiazd koroną
wyzłoconą
Syn Twój wieńczy Ci włosy...

Nasze oczy
śloza mroczy:
my tu sami ostaniem!
W jasnem niebie,
prosim Ciebie,
nie gardź naszem wołaniem...

Śpiew milknie, słychać już tylko stłumiony dźwięk organów. — Świtanie.

Naraz rozlega się mocne, twarde pukanie do drzwi.

Arno wznosi głowę, patrzy.

Drzwi się rozwierają, wchodzą **czterej bracia zakonni.**

Arno powstaje.

Bracia zakonni chórem:

Niech będzie pochwalony Pan nasz Jezus Chrystus.

Arno rozgląda się zdumiony, nieprzytomny jeszcze i po chwili dopiero, zebrawszy myśli, odpowiada:

Po wszystkie wieki — amen.

Bracia zakonni chórem:

Przyszliśmy zabrać posąg Dziewicy.

Arno w milczeniu wskazuje ręką figurę.

Bracia zakonni zbliżają się do niej i dźwigają ją na ramiona.

Akt drugi

Sala zamkowa, rogiem w głąb zwrócona. Ściana z lewej od przodu otwiera się w dwie wielkie arkady, przez które widno przedsionek z malowanemi oknami i schodami kamiennemi w głębi, wiodącemi na niższe piętra. — Dalej w ścianie po lewej stronie są drzwi do komnat niewieścich, jakimś zdobycznym wschodnim dywanem zasłonione. Między arkadą a drzwiami stół i parę krzeseł. — W ścianie po prawej okno, przed niem organki. W głębi pod ścianą ława, — ku przodowi drzwiczki w murze od ukrytego ganku, wiodącego na chór kościelny. — Na ścianach rogi, broń, gobeliny, — skóry niedźwiedzie na kamiennej posadzce.

Godzina popołudniowa; słońce pada ukośnie przez barwne szyby dużych okien przedsionka.

Cztery dziewki strojne odświętnie siedzą na ławie w głębi, zajęte żywą rozmową.

Heno, chłopię czternastoletnie, leży na ziemi, na skórze niedźwiedziej, nie zwracając pozornie uwagi na słowa rozmawiających.

Jedna z dziewek.

A ja wam na Zbawiciela przysięgnę, że widziałam! — I to już parę razy. Wczoraj znowu. Strażnicy przy bramie także widzieli...

Druga.

A cóżeś ty tam ze strażą po nocy robiła?

Trzecia.

Nie przerywać jej! — Truda, powiedz, jak to było!

Czwarta — najmłodsza.

Mnie straszno słuchać...

Trzecia.

To idź się schować pod pierzynę! — Truda, opowiadaj!

Pierwsza.

Więc — wczoraj wieczorem wyszłam sobie przed bramę... Miesiączek wzeszedł był właśnie na niebie. Rozmawiałam z kimś...

Trzecia.

Aha! —

Pierwsza.

Jak będziesz przeszkadzać, to nic nie powiem!

Druga.

Cicho, cicho! słuchamy.

Pierwsza.

Wtem spojrzałam w górę, i aż mróz mi przeszedł po kościach! Na gzymsie, na tym szerokim gzymsie,

wiecie, co to biegnie od zamku ponad bramą do okien klasztornych — zobaczyłam...

Heno, który przed chwilą podniósł był głowę, przerywa jej żywo:

Nie pleć głupstw! — Nic nie widziałaś! —

Pierwsza.

A cóż ty możesz wiedzieć, kociaku?

Druga.

Patrzcie go, jaki mądry! — Mów, mów, Truda!

Trzecia.

Coś zobaczyła?

Czwarta.

Ja się boję...

Pierwsza.

Na gzymsie — tam wysoko — przylepiona do muru biała postać...

Czwarta.

O Jezu! —

Heno żywo, z mimowolną obawą:

Poznałaś ją?

Pierwsza zdziwiona:

Kogo?

Heno miesza się.

To jest... pytam się... czyś ją widziała dokładnie — tę postać?

Pierwsza.

Aha, dokładnie! — Ze strachu o mało nie oślepłam, i jak tu było patrzeć! Zresztą tak wysoko! — Zauważyłam tylko, że miała zielone świecące oczy, duże krogulcze pazury i szeroką gębę, zionącą ogniem...

Czwarta.

O Jezu, o Jezu! — nie mów już więcej, Truda! — ja cię proszę!

Druga.

I co się z nią stało? co?

Pierwsza.

Posunęła się ku oknu w klasztorze...

Heno.

Ku temu wielkiemu? pierwszemu z kraja?

Pierwsza.

A ty skąd wiesz o tem? Czy widziałeś także?

Heno.

Nie. Nic nie widziałem. Tak tylko mówię... I ty

z pewnością nic nie widziałaś. Zdawało ci się. A najlepiej już nie mówić o tem.

Czwarta.

Tak, tak, — Heno ma słuszność! — nie mówcie już o tem, moje kochane!

Druga po chwili:

To tak dziwnie się składa... To straszydło w nocy... Teraz pan miał przybyć rano, — zachód się zbliża, a jego jeszcze nie widno... I znowu ten wypadek w kościele... Wiecie już?

Pierwsza.

Wiem.

Trzecia.

Ja nie słyszałam! —

Druga.

Ojciec Anioł, ten, co to od roku mszy nie odprawia, dzisiaj rano podczas odsłonięcia nowej figury w ołtarzu, krzyknął i padł zemdlony. Wyniesiono go z kościoła...

Pierwsza.

Mówią, że ojca Anioła zły duch pono nagabuje... dlatego, że zbyt jest święty...

Trzecia półgłosem:

A czyście wy zauważyły, jak ta postać Matki Bożej do pani naszej jest podobna?

Pierwsza.

To ci się zdaje...

Drzwiczki w murze otwierają się,—przechodzi pani Maruna, czarno odziana, blada. Spojrzała na sługi, zmierza ku drzwiom swych komnat. W progu staje, odwraca się i daje znak ręką:

Możecie odejść! — poczem znika.

Dziewki powstają.

Trzecia.

W kościele znów była...

Pierwsza.

Siedzi tam dzisiaj od rana...

Trzecia.

A ja wam mówię...

Druga wskazując głową na pazika:

Cicho. — Pójdźmy na drogę, wyglądać, czy pan nie nadjeżdża. Tam będziemy gadać swobodnie.
Wychodzą.

Czwarta zatrzymuje się jeszcze.

Heno, a czy ty nie pójdziesz z nami?

Heno.

Przyjdę wkrótce...

Dziewka głaszcze go nieśmiało po twarzy.

Mój Heno, przyjdź za chwilę...

Heno odsuwa ją szorstko.

Tak, tak.

Dziewka zmierza ku wyjściu.

Heno żywo:

Berta!

Berta staje.

Heno podchodzi ku niej.

A zapowiedz ty im, niech nie plotą...

Berta.

Komu?

Heno.

Tym srokom!

Berta.

Przecież one mnie nie posłuchają!

Heno.

Więc idź do licha.

Berta po chwili:

Nie pocałujesz mnie, Heno?

Heno.

Nie mam ochoty.

Berta wychodzi — smutna.

Heno pozostał sam. Rozgląda się. U wejścia do komnat pani spostrzega porzuconą przypadkiem chustkę. Chwyta ją, klęka, całuje. Twarz całą w niej ukrywa.

Stara Gerta grabiny Maruny niegdyś piastunka, przechodząc przez przedsionek — od przodu ku schodom w głębi, zatrzymuje się pod arkadą i zagląda do sali. Spostrzega chłopca, patrzy przez chwilę w milczeniu, potem naraz wybucha śmiechem.

Ha, ha, ha! Ha, ha, ha!

Heno ogląda się z lękiem, zrywa się i chowa chustkę w zanadrze.

Gerta.

To i ty, gołąbku, i ty...

Heno.

Nie wiem, matko, o czem mówicie...

Gerta.

Widziałam. Ano taki już los... Ale ty rzuć to lepiej, oddaj! — To ci szczęścia nie przyniesie, bo nie ma szczęścia i ona, złota, ukochana biedaczka moja!

Heno.

Tak dziwnie prawicie, babo...

Gerta.

Dziwnie prawię? — a juści... Wszystko jest dziwne. Klątwa... Woda się dzisiaj nie chciała gotować, mgłą zaszło jasne źwierciadło stalowe... Gdzie pani?

Heno.

Poszła do swoich komnat. Była w kościele.

Gerta.

W kościele? — dobrze. Trzeba się modlić. Chociaż...

Mruczy do siebie i zbliża się ku schodom, postukując kosturem po kamiennej posadzce. Przed schodami odwraca się jeszcze raz i woła:

A ty rzuć to lepiej, powiadam ci, chłopcze! Oddaj!

Wychodzi.

Heno po chwili do siebie:

Nigdy! — chyba z życiem razem!

Unosi się zasłona nad drzwiami komnat niewieścich i wchodzi Maruna. Zrzuciła była zwierzchnie okrycie czarne, — strojne suknie ma na sobie. Chłopca, pod filarem arkad stojącego, nie widzi. Postępuje zwolna ku oknu, ku organkom dźwięcznym. Siada i mimowoli prawie grać zaczyna w myślach cała zatopiona. Z pod palców płyną jej tęskliwe' przyciszone tony, wiążąc się w pieśń, którą pani snadź, rankiem w kościele zasłyszała była, pieśń: „Panno święta,— niepojęta, — śliczna gwiazdo zaranna...". Przerwała muzykę, — siedzi niema, w dal zapatrzona, bez ruchu..., aż wreszcie twarz chyli, w dłoniach ukrywa i z cicha płakać poczyna.

Heno odruchowo rzuca się do niej i u stóp jej klęka.

O, pani! pani moja! o cóż wy płaczecie?

Maruna zrywa się z krzesła, — oczy błyszczą jej gniewnie, że to ją — dumną — chłopak i sługa na płaczu zaskoczył.

Kto ci tutaj zostać pozwolił?

Heno składa ręce.

Nie gniewajcie się, pani kasztelanowo! nie odpędzajcie mnie! — Ja chciałem tylko... O, pani! czemuście wy tacy smutni?

Maruna patrzy na chłopca. Wzruszyły ją oczy jego błagalne i słowa. Uśmiecha się blado. Jedną dłonią dotyka z lekka kędzierzawej głowy chłopczyny, — drugą przesuwa sobie po czole.

Czemu ja smutna...?

Drgnęła, cofa rękę.

Idź, Heno, idź na dziedziniec, na wały, — baw się z chłopiętami...

Heno błagalnie:

Pozwólcie mi zostać! — ja was rozweselę. — Będę się śmiał — przemocą, albo... piosnki wam będę układał, — chcecie? A może... słuchajcie mnie, pani miłościwa! — powiedzcie jeno, czem ja wam mogę dopomóc? Ja życie za was dać gotów!

Maruna.

Dziecko!

Heno.

Młodyć ja jeszcze jestem, ale miecz już udźwignę i nie dla stroju tylko noszę mizerykordję u pasa. Nie pogardzajcie mną i mówcie tylko... Może... wy chcecie... krwi? Jeżeli to — powrót pana — tak was zasmuca...

Maruna.

Skąd ci to przyszło? — — Idź na dziedziniec, bawić się luteńką albo sokołem, dziecko!

Heno wstaje i mówi zdławionym głosem:

Więc może — winien — on? ten szczęśliwy! — Mówcie! jak psa go zakłuję!

Maruna zrywa się.

Czyś ty oszalał?! — kogo? skąd? i na co?

Heno.

Darujcie, pani, — ale... widzicie... ja wiem z przypadku... I nawet ostrzedz was chciałem...

Maruna zdumiona:

Co ty wiesz? co? o czem?

Heno patrzy kasztelanowej w oczy, — wreszcie spuszcza wzrok i uśmiecha się gorzko, nie podziecinnemu.

Nic już nie wiem, nic. Choćby mi nóż na gardle położono — nie wiem nic.

Maruna nie odpowiada. Stoi zamyślona. Naraz, jakby ze snu się budząc, pyta:

Gdzie są dziewki moje?

Heno.

Wyszły na drogę. Sama je odprawiłaś, pani. Czy mam je tu wołać?

Maruna siada znowu.

Nie.

Urywa, wpatrzona w okno. Znów kilka mimowolnych prawie tonów, wydobytych z organków. Głowę ma w tył odrzuconą, — białe ręce lśnią na klawiszach. — Po chwili opuszcza ręce i pyta, nie zwracając głowy:

Heno, czy tobie śni się co czasem?

Heno, który był znowu osunął się u nóg jej na ziemię:

Tak, pani...

Maruna gładzi jego włosy.

A piękne rzeczy ci się śnią?

Heno.

Tak, pani. Zwłaszcza...

Maruna.

Zwłaszcza?

Heno stłumionym głosem:

— kiedy, jak teraz, dłoń na mych oczach położycie.

Maruna w myślach znów zatopiona:

I co ci się śni?

Heno.

Dziwna, dziwna bajka...
— Śni mi się w zamku królewna zaklęta,
biała i złota

i święta,
co len srebrzysty na wrzeciono mota
i śpiewa:
„O, szczęście! o, jasne szczęście...“
Z dalekich krajów tam
ciągną hufami rycerze pancerni,
jej wierni —
z malowanemi płatami u drzewa,
z mieczami w dłoni
i w zbroic chrzęście
stają u bram,
gotowi życie nieść
dla sławy jej i za jej cześć, —
lecz ona
głowę swą kłoni
ku pacholęciu, co u stóp jej kona
z miłości... — i śpiewa:
„O, szczęście...!“
— Taka bajka śni mi się czasem, kiedy wy, pani przejasna, dłoń na mych oczach położycie...

Maruna w zadumie — do siebie:

A któż mnie kładzie rękę na oczach? kto mnie sny — te srebrne — daje?...

Drgnęła, pogląda na chłopca, który schylony ukrył twarz w rąbku jej sukni i trzęsie się od wewnętrznych łkań.

Ty płaczesz, pacholę?

Heno.

Nie, już nie płaczę... To tylko... Pani! otoście rękę z mojej głowy cofnęli i obudziłem się,! — Wiem,

że to tylko sen, że to nie ja... Ale wy jasna pani, wy jasna! — wolno wam kochać, kogo wam się podoba! — Niechaj Bóg was błogosławi! — Ja dla was...

Maruna powstaje i mówi zmienionym tonem:

Pleciesz od rzeczy, dziecko. Za wiele tutaj przesiadujesz, zamiast uganiać po polach. Zaduch komnaty do głowy ci uderza. Idź już. Chcę zostać sama... Albo... zawołaj mi starej Gerty. Niechaj tu przyjdzie.

Heno wstaje i wychodzi posłuszny — w milczeniu.

Maruna przesuwa się powoli przez salę. Naraz staje: ozwał się głos sygnaturki na kościele. Mimowoli rzuca się ku oknu, — z ust wyrywają jej się słowa dziwnego pełne lęku:

Czyżby... już... jechał —?

Patrzy w okno, — po chwili mówi z ulgą:

Ach, nie! — to tylko na nieszpory dzwonią!

Głowę o uszak okna oparła, — stoi tak bez ruchu z przymkniętemi powiekami.

Wchodzi stara Gerta.

Wołać mnie kazałaś, gołąbko moja?

Maruna budzi się z odrętwienia:

Tak, babo. Nie chcę być sama. Dziwne mnie lęki nachodzą.

Gerta.

Niedobry to dzień jest dzisiaj, niedobry! Uroki odczyniałam, biłam się z dolą o ciebie, — ale się woda gotować nie chciała, tonął węgiel wypalony, mgłą zachodziło śkliste źwierciadło stalowe...

Maruna.

Czemu mnie, babo, straszycie?

Gerta.

Nie straszę-ć ja, nie straszę, jeno powiadam. Zawsze to lepiej wprzódy wiedzieć. — Nie na szczęście ja cię mlekiem swojem karmiła, gołąbko ty jedyna!

Maruna.

Wiem o tem.

Gerta.

Hej! dolo...

Maruna.

I czemuście mnie na taką dolę wykarmili? — Nikomu ja w życiu szczęścia nie dała i mnie go nie dał nikt — i nic... chyba sen.

Gerta.

Ty się snu strzeż, bo to przekleństwo twoje! Hej, hej! żebyś się ty ino z dolą pogodzić umiała! żebyś ty o szczęściu nie śniła!

Maruna powtarza

Nie śniła...

Gerta.

Wziął cię pan możny, wziął cię pan bogaty,
dał ci dwór piękny, dał ci kraśne szaty —
i czegóż ty jeszcze chcesz?

Maruna.

Wziął mnie pan możny do zimnej łożnicy,
złote kajdany dał swej niewolnicy —
i czegóż ja jeszcze chcę...?

Gerta.

Panią tu jesteś...

Maruna.

Tak, panią! u niekochanego męża jestem panią!... Babo, przed chwilą zabrzmiał dzwon w kościele, a jam się zlękła, że to już powraca on, mój mąż... A przecież dwa lata go nie widziałam, a przecież on dobry jest dla mnie! — Ale czy ty wiesz, babo, co to znaczy ze starym i niekochanym mężem żyć? Czy ty znasz te noce, kiedy on po ciebie ramiona wyciągnie, a w tobie każda kropla krwi się buntuje, każda kropla krwi krzyczy odrazą i boli? — —
kiedy się z piersi straszny zrywa szloch,
o który nie dba on, bo on jest mąż!
ma prawo
brać mnie wbrew woli, pełną wstrętu, łzawą!

Ten wstręt! ten wstyd,
kiedy się w okna ranny wdziera świt
i pyta:
Znasz ty kochanie? szczęście ty znasz?
— A przecież — mnie go żal...
On tam po świecie, zakuty w stal,
goni i tęskni za mną,
bo on mnie kocha!
A nie miał przecież ze mnie nic!
jednego dreszczu, jednego westchnienia,
które ja sama znam tylko — z pragnienia,
z tęsknot, ze snu...
Bo tęsknię, babo, tęsknię i śnię! —
— I co ja winna?...

Gerta.

Tak, tyś nie winna, winna jest klątwa i winien los...

Maruna.

Babo, od dziecka śpi we mnie takie nieukojone pragnienie miłości, pieszczót, rozkoszy, — a tego nie dał mi nikt! — Nie kochałam jeszcze nigdy, nikogo... Wszyscy jakieś brudne ręce wyciągali po mnie, krzywdzili mnie wszyscy, a potem klęli mnie za to, że oni nie umieli mi dać tego, za czem ja tęskniłam! — — —
I przyszedł wreszcie on,
dobry, stary człek,
mój mąż —
i jam myślała: on mnie uspokoi —

jak dziecko! —
i jako dziecko, tak mu się oddałam,
i jestem jego żoną
i dobrą chcę dla niego być,
zapomnieć...
A jednak wciąż
tęsknotą dawną wzbiera moje łono...
Babo! ja w duszy wciąż jestem dziewica,
kochanka snu...

Gerta.

To źle! to źle!

Maruna.

Takie są we mnie rzeczy niepojęte, —
nie znam się sama...
Krew moja młoda w piersi gra i tętni,
i upomina się o swoje prawa;
chciałabym kochać...

Gerta.

Niech cię Pan Bóg strzeże!

Maruna.

Chciałabym kochać, pieścić i całować,
a równocześnie — to jest takie dziwne! —
a równocześnie chciałabym być czystą,
jako ta lilja nad wodą schylona —
i jeno w żarze słonecznym omdlewać
i mrzeć i ginąć od słońca pożaru...
Chciałabym stać się dla kogo — na jawie —
świętością, jako śnię o tem po nocach,

by świętość potem oddać kochanemu!
Babo! wiesz dobrze, że we mnie się ludzie
kochali,
ale nikomu ja dobra nie byłam,
bo nikt nie umiał znaleźć drogi do mnie,
do białej lilji, co chce w słońcu ginąć,
ale nie dusić się w błocie...
Gdy o tem myślę, to się we mnie budzą
takie złe rzeczy, jakaś dzika wola
zemsty, zniszczenia...
Ty wiesz, że niszczę tych, co mnie kochają,
nawet gdy nie chcę tego...
i bez szczęścia żyję...

Gerta.

To twoja klątwa...

Maruna.

O klątwie zawsze mówicie, — dzieckiem byłam, toście mnie na kolanach waszych tą piosnką straszną do snu kołysali, babo, a ja nie wiem, jaka to klątwa — i za co?

Gerta.

Mówić nie chciałam, z dolą się biłam — za ciebie, ale dziś już nie poradzę... Klątwa na matce twojej ciążyła, na jasnej pani, matuleńce twojej, która cię odumarła dzieciną...

Brał pan jasny, pan bogaty,
młodą żonkę brał,
a dał ci jej kraśne szaty,
pas złocisty dał...

Pójdź-że w dom mój, żono miła,
zapomnij kochanka;
będziesz w szczęściu tu chodziła
od ranka do ranka!

Jak porodzisz dla mnie syna,
dam ci łan i dwór,
a jak będzie to dziewczyna,
dam ci złota wór!

Mężu władny, mężu stary,
ty litościw bądź!
mój kochanek umie czary,
on mnie gotów kląć...

Bo ja jemu rękę dałam,
uczyniłam ślub,
i tak-ci mu przysięgałam
na mej matki grób:

Twoja jestem, mój sokole,
już na wieczny czas!
na niedolę, czy na dolę
z tobą pójdę wraz! —

On mi jeden był na świecie,
z nim przysięgłam żyć;
jakże tobie rodzić dziecię,
jakże twoją być! —

— A śmiejże się, żono miła,
odrzuć próżny strach!
niźli głupiej klątwy siła,
mocniejszy mój gmach!

Mam ja złoto, mam ja wieże,
mam ten zbrojny huf;
moje ramię cię ustrzeże
od złych klątw i mów! —

Hej, przed zamkiem, hej, przed bramą
młody rycerz stał!
w nockę huczną, w noc tą samą,
gdy pan żonę brał...

Poźrzał w okno, gdzie świeciła
lampa nad łożnicą:
Hej! hej! wczoraj jeszcześ była
moją i dziewicą!

Przysięgałaś mi kochanie
na twej matki grób;
hej! ty siwy, władny panie,
nieszczęsny twój ślub!

Jeśli ci się syn narodzi,
zemrze w kwiecie lat,
za tę karę, żeś ty złodziej,
żeś mi szczęście skradł!

Lecz gdy żona w twej łożnicy
pocznie córkę, panie,
to tak piękną, jak w kaplicy
złote malowanie!

Urok jej każdego spęta,
w każdym wznieci żar,
ale piękność jej przeklęta
i zgubny jej czar...

Maruna.

To ja...?

Gerta.

Kochać będą ją rycerze,
kochać będą prości,
lecz jej łono, hej! nie wzbierze
rozkoszą miłości!

Maruna.

To ja.

Gerta.

Będą dla niej ginąć ludzie
od męki serdecznej,
a jej życie przejdzie w nudzie
i w tęsknicy wiecznej...

Maruna po chwili:

Czy to już koniec?

Gerta.

Była jeszcze jedna zwrotka, ale jej zapomniałam...

Maruna.

Mówcie!

Gerta.

Raz, raz tylko szczęście stanie
przed nią — w snu postaci;
a jedyne to kochanie!
ona życiem spłaci! —

Maruna powtarza:

Raz, raz tylko szczęście stanie
przed nią — w snu postaci...

Gerta.

Taka jest klątwa. — W nieszczęsną ty godzinę na świat przyszłaś, gołąbko! — Matki swojej nie znałaś, — jam cię na tych rękach wyniosła z gruzów zamku ojca twojego, chowałam cię, mlekiem mojem karmiłam, a od miłości strzegłam, chroniłam bardziej niż od zarazy... Nie wiem ja, co się to stało, ale klątwa się dopełnia. Nie wiem, co się stało...

Maruna.

...a jedyne to kochanie
ona życiem spłaci!

Babo...

Gerta.

Co? gołąbko ty moja...

Maruna.

Ja miewam takie dziwne sny...

Gerta.

Sny?

Maruna.

Z wiosną to było po raz pierwszy, pamiętam. Usnęłam w księżycu. I nagle zdawało mi się, że się budzę w jakiejś izbie nieznanej, a srebrnych świateł pełnej... Ktoś niby na mnie zawołał — dziwnem imieniem, które mi się wydało mojem własnem... Człowiek jakiś wyśniony klęczał u moich nóg i mówił... mówił..., a mnie rosło w piersi coś nieznanego dotąd, słodycz, szczęście, lęk...

Gerta.

Przekleństwo! —

Maruna.

Wtem dzwony jakieś bić poczęły — i nie wiem już, co się stało dalej. — Zbudziłam się rankiem tutaj, na mojem łożu... Te sny powtarzają się często, za każdym razem, kiedy księżyc świeci. — Piękne są i dziwne, kocham je — i uchylam kotary z nad łożnicy, aby mi je miesiąc przynosił... A ostatni raz — wczoraj...

Gerta.

Co?

Maruna.

Widziałaś, babo, ten posąg Matki Bożej w kościele?
Nie wiem dlaczego, zdaje mi się, że znam go już
dawniej, nim stanął w ołtarzu... Boję się.

Gerta z naciskiem:

Ten posąg, dziecko, do ciebie podobny! —

Maruna.

Ja nie wiem. — Straszy mnie i ciągnie...

Gerta.

Hej! ty nie sama śnisz swój sen, nie sama!
Zasłaniaj okna, nie puszczaj księżyca!
strzeż się snów! szczęścia, jak moru, się strzeż,
bo klątwa wisi...

Maruna.

A więc niechaj spadnie,
byle choć raz na jawie...

Dzwon się odzywa.

Gerta.

Mąż twój jedzie!

Słychać trąby i okrzyki.

Dziewki wpadając jedna po drugiej:

Pan! pan! — jedzie już pan! —
Orszak już wjeżdża do bramy!

Są już w dziedzińcu! —
Pan już tu idzie! — o, pani!

Maruna przez cały czas stoi bez ruchu, jakby skamieniała

Gerta, spojrzawszy jeszcze raz na nią, mruczy:

Szczęścia się strzeż! —

i wychodzi, stukając kosturem.

W przedsionku pojawia się rycerz Kuno, w zbroi, miecz jeno dwuręczny i przyłbicę strojną pióropuszem niesie za nim giermek. Przedniejsi z wasalów cisną się za nim, w zbrojach wszyscy, tak jako z nim byli powrócili z wyprawy. Kilkunastu zbrojnych pachołków wchodzi na końcu. Tuż obok pana postępuje stary klucznik, niosąc chleb i sól na tarczy. Wśród orszaku znajduje się także nieznajomy rycerz, sam jeden w przyłbicy, z ogromnemi orlemi skrzydłami u ramion.

Klucznik zastępuje panu drogę pod arkadami i klęka.

Otośmy, panie, klucze ci oddali
w bramie, a tutaj, na progu tej sali,
gdzie jest domostwo twoje i rodzina,
chlebem i solą ciebie, gospodyna,
witam! Gdy trudził bój twą rękę chrobrą,
ja sługa w pieczy miałem tu twe dobro;
boże ci dary niosę na puklerzu, —
bierz i pozdrowion bądź nam, cny rycerzu!

Kuno bierze ułomek chleba i szczyptę soli.

Bóg zapłać! — Kędyż jest kasztelanowa,
z którą tym chlebem podzielić się pragnę!

Maruna zbliża się do pana w otoczeniu dziewek i chyli mu się do kolan.

Witam cię, panie!

Kuno wznosi ją.

Witaj, miła żono!
Rad cię we zdrowiu widzę! Przez dwa lata
tęskniłem w krwawych bitwach i w obozie
za tobą, jasna moja gołębico!

Ściska ją.

Oto chleb, którym witają mnie sługi;
z tobą go dzielę, pani, jako wszystko,
co mam, krom serca: ono wasze całe!

Maruna.

Od rana czekam waszego przybycia,
panie...

Kuno.

Spóźniłem się nieco. Złe drogi
i skwar sierpniowy stały się przyczyną,
że lotność konia mego mej tęsknocie
nie dorównała. — Mówcież, miła pani,
jako się macie? — Albo nie! nie mówcie!
wolę się patrzyć na te cudne lica
wasze, co trudów moich są osłodą!
Czyście tęsknili za mną?

Maruna.

Wiernam była
małżeńskiej mojej przysiędze...

Kuno.

Czy serce
wasze wołało, bym wracał?

Maruna.

Dwa lata
nie przeszłam nawet przez ten próg, li tylko
tym gankiem w murze chodząc do kościoła
na chór, gdzie dla was o zdrowie prosiłam
Boga i wojów patrona, świętego
Jerzego.

Kuno.

Miłe, widno, Bogu były
modlitwy wasze, bo oto powracam
zdrowo i łupy przywożę bogate,
które wam u stóp rychło złożyć pragnę!
Odwraca się.
Hej! znieść tu skrzynie!
Spostrzega rycerza.
Darujcie rycerzu,
prawiem zapomniał, że tutaj jesteście,
lecz, wiecie, żonym dwa lata nie widział,
a wyście znikli z oczu mych po drodze...

Rycerz.

Goniłem naprzód...

Kuno.

Młodość wasza parła
konia, jak widzę...

Do Maruny:

Patrz, kasztelanowo,
gościa wam wiozę. Na rozstajnych drogach
potkałem tego skrzydlatego ptaka,
jako się pytał o dwór mój — i oto
wiodę go z sobą! Honory mu czyńcie,
jak gospodyni, a ja tu tymczasem
każę znieść dla was zdobyczne podarki.

Odchodzi do przedsionki..

Maruna do rycerza:

Witam was, panie.

Rycerz przyklęka.

Pozwólcie mi, pani,
iżbym wam służył...

Maruna.

Dziwne wasze słowa
i dziwny sposób, w jaki mnie witacie.
Nie wiem ja, co was w zamek ten sprowadza,
lecz żeście razem z panem mym przybyli,
to dość, bym ja wam, rycerzu, służyła,
jako gościowi...

Rycerz.

Pozwólcie mi, pani,
abym wam służył!

Maruna.

Jedno powtarzacie...
Zaszczyt niemały to dla mnie, zaiste,
iż mi swe służby ofiarować chcecie,
lecz nie wiem w czembym ja was trudzić mogła,
zacny rycerzu!

Rycerz wstaje.

W czemkolwiek zechcecie
użyć sił moich, spełnię to ochotnie,
gdyż wiem, że dobre musi być i święte,
czego wy chcecie!

Maruna.

Tak-że mi ufacie?
mnie — nieznajomej?

Rycerz.

Ja was znam już, pani!
jesteście piękna!

Maruna.

Czy to dość?

Rycerz.

Tak wierzę!
Słuchajcież, pani! Oto ja, przelotny
ptak, obleciałem wszystkie ziemie świata,
walcząc za prawo, za słuszność, za cnotę...

Maruna.

Więc cóż?

Rycerz.

Myślałem, że to są najświętsze rzeczy, tymczasem dziś widząc was, widzę, że jest...

Maruna.

Co?

Rycerz.

Większa piękność!...

Maruna.

Jaka?

Rycerz.

Wasza!

Maruna.

Myślicie?

Rycerz.

Ona wszystką w sobie łączy
świętość, jak słońce wszystkie barwy tęczy!

Kuno wskazuje na zniesione kufry, które służba otwiera.

Patrzcie, kochana żono, to podarki,
które przywożę dla was z krwawych bitew,
bogate łupy, krwią płacone drogo!
Są tu łańcuchy złote, są manele,
perły i szaty drogocenne, tkane
we wschodnich krajach. Piękność wasza zalśni

w nich jeszcze cudniej, jeśli to możliwa...
Patrzcie, jak świeci pas ten złotolity!

Maruna.

Coś błysło na nim...

Kuno.

To? — krwi skrzepłej plama,
nie myślcie o tem. Wywabi się łacno.
Mój żołdak zdarł go z ramion jakiejś baby,
gdyśmy gród w lądach tam dobyli wschodnich...
Snadź zakłół przy tem i babę potwora!

Maruna.

Weźcie te chusty...

Kuno.

Cóż to, miła żono?
czyżby was taka drobnostka przelękła,
jak krwi zakrzepłej plama?

Maruna.

Prawda! prawda!
i cóż krew znaczy — lub łzy? A więc dajcie!
niech się odzieję tym szalem. Ma barwę
włosów mych złotych! Wśród czerwieni kwiatów
tkanych krew ginie, i zmywać nie trzeba...
Wzorzysta szata! — wzorzysta i kraśna!

Rycerz.

Rzućcie ją, pani!

Maruna.

Dlaczego? tak lśniąca
i dobrze stroi smukłe me ramiona!

Rycerz.

To strój nie dla was! Służyć wam chcę, pani!
ja, com świętościom dotąd jeno służył!
i przed pięknością tylko schylał czoło!
Oto przed wami ugiąłem kolana
i chcę wam służyć!

Maruna.

Więc służcież, gdy chcecie!
Czyż-em mniej warta tego w krwawej szacie?
Wszak jestem piękna!

Rycerz.

Tak! jesteście piękna!
lecz mnie, co jestem z zakonu rycerzy,
którzy na świecie sprawiedliwość czynią,
ani się godzi ni wolno tym służyć,
na których ciąży krew lub cudza krzywda!

Maruna.

Za wiele naraz żądacie, rycerzu!
— to jedno z waszych mętnych słów rozumiem.

Rycerz.

Rzućcież tę szatę! Drapieżne się błyski
od niej w źrenicach waszych rozpaliły
i jakiś uśmiech zły wam lica skaził, —
a jam je widział, zanim wszedłem tutaj,

na świętem miejscu i wzniesione w niebo!
Grzeszycie, takim odziawszy się strojem!

Maruna pobladła — ściąga szal z ramion, — nogi pod nią zadrżały.

Grzeszę...

Kuno chwyta ją za rękę.

Co wam to? Zbledliście...

Maruna.

Mój mężu,
dzięki za dary tak bogate, ale —
każcie to wziąć już... Zbyt zmęczona jestem
długiem czekaniem dzisiaj... Raczej jutro
obaczę resztę skarbów...

Kuno.

Jako chcecie...
Spocznijcie. Pójdę obejrzeć tymczasem
me orle gniazdo, gród mój...

Klucznik.

Jasny panie,
w kościele opat was czeka z ojcami,
chcąc godnie witać dziedzica...

Kuno.

Więc pójdźmy,
tam przed ołtarzem pokłonić się Bogu
i pozdrowienie zanieść opatowi,
kiedy nas czeka! Zwraca się.
Hej, moi! te skrzynie

zanieść do skarbca i za mną wraz wszyscy!
Bądź zdrowa, żono! wrócę tu niebawem!

Wychodzą wszyscy pozostaje tylko Maruna, Rycerz i dziewki, które skromnie cofnęły się w głąb.

Maruna spostrzegłszy, że rycerz pozostał—i stoi pod słupem nieporuszony, jak posąg:

Wy nie idziecie do kościoła, panie?

Rycerz.

Ja tam już byłem. Rumak mój latawiec
wyprzedził orszak pana domu. Wpadłem
wraz z heroldami na zwodzone mosty:
snadź mi przeczucie dodawało skrzydeł...
lecz, że to jestem rycerzem Maryi,
a dziś Jej święto, chciałem się pokłonić
naprzód Dziewicy w przejasnym kościele,
ale... — Urywa.

Maruna.

Co, panie?

Rycerz.

Wam się pokłoniłem
w wielkim ołtarzu! —

Maruna.

Mnie! mówicie?

Rycerz.

Pani!
snycerz, co rzezał ten posąg, snadź szukał

najdostojniejszej piękności na ziemi,
a nie mógł naleść większej, niźli wasza:
tam wasze oczy patrzą się z ołtarza, —
w niebo się patrzą! pani!

Maruna.

Moje oczy...
Dajcie mi pokój, rycerzu! Ja nie wiem,
czego wy chcecie odemnie! Zwracacie
na mnie wzrok ciągły i mówicie rzeczy,
których nie mogę zrozumieć!

Rycerz.

O, pani!
jakoż mam mówić, kiedy patrzę na was?
Zamęt się jakiś staje w mojej głowie!
wszystkie te święte cele, które wczoraj
tak jako słońca świeciły nademną,
gasną dziś wobec blasku waszych źrenic!
Oto są cudu pełne moje oczy,
i chciałbym, aby oślepły na wieki,
w czarnej swej głębi chowając jedynie
pamięć lic waszych!

Maruna.

Odejdźcie odemnie!
Czyż już i na was czar nieszczęsny działa,
którym przeklęto moją biedną głowę?

Rycerz.

Teraz ja waszych słów pojąć nie zdolny!
Szukając piękna, stanąłem przed wami —

lecz mi się zdaje, że los jakiś dziwny
przywiódł mnie tutaj ... Strach mnie obejmuje...
Wy czarnoksięskie oczy macie, pani.

Maruna.

Więc się ich bójcie!

Rycerz.

Czyż mnie to wybawi...?

Hałas na schodach.

W przedsionku pojawia się Klucznik.

Maruna spostrzegłszy go:

A co tam?

Klucznik.

Dostojna pani, człowiek jakiś pragnie was widzieć. Zachodzi tutaj od samego rana, ale pachołkowie odpędzali go za każdym razem, gdyż wygląda na szalonego, albo też musi być zgoła pijany, zwłaszcza, że widziano go przez większą część dnia w gospodzie pod zieloną wiechą...

Maruna.

Co to za człowiek?

Klucznik.

Nie tutejszy. Pisarz snadź wędrowny. Tak wygląda. — Kołatał znowu do drzwi, — wadzi się teraz ze strażą, która go wpuścić nie chce.

Maruna.

Powiedzcie mu, że kasztelan jutro da mu po-

słuch, jeśli z prośbą przychodzi. Dzisiaj zbyt jest zdrożony.

Klucznik.

Pani, ten człowiek z wami chce mówić!

Maruna.

Że mną?... Wprowadźcie go tutaj.

Klucznik wychodzi.

Maruna do rycerza:

Czy chcecie jeszcze czego, panie?

Rycerz.

Nie chcę niczego. Cień mi jakiś padł na serce i zadrżały orle skrzydła na mej zbroi, jakgdyby trzeba mi było znowu lecieć dalej...

Maruna.

Więc lećcie szczęśliwie!

Rycerz.

Nie tak to łatwo... Zdaje mi się, że dusza moja zaplątała się już w złotej sieci waszych włosów i gdybym odszedł, zostanie tu z wami... Obym nie musiał bez duszy błąkać się po świecie. — Bywajcie zdrowi. Piękna jesteście. Zbyt piękna.

Wychodzi.

Wala wprowadzony przez dwóch pachołków, którzy na znak pani oddalają się natychmiast, postępuje parę kroków,

jakby się chciał do nóg rzucić Marunie — ale siły go snadź opuściły, zmieszała obecność dziewek w głębi, czy też może zimny, zdumiony wzrok pani powstrzymał, gdyż staje, całem ciałem na filarze się wspierając i patrzy jeno w twarz kasztelanowej z pokornem, psiem niemal błaganiem.

Maruna mierząc go okiem:

Ktoś ty? — i z jaką prośbą przybywasz, wędrowny człowiecze?

Wala mimowoli — zdławionym głosem:

Jagna!...

Maruna.

Mówicie moje imię, którem wołano mnie w dzieciństwie, miast panią mnie mianować... Kto wy jesteście?

Wala jak echo:

Jagna...

Maruna patrzy nań badawczo, następnie odwraca się i daje znak dziewkom, aby przeszły do jej komnat. Po odejściu dziewek, mówi do Wali:

Zdaje mi się, że znam was skądś... Czego wy chcecie?

Wala mieszając się:

Ja tylko... Daruj... darujcie, pani, że się ośmieliłem... Zobaczyć was jeno! głos wasz jeszcze raz posłyszeć... a potem... pójdę znów... O! Jagna...

Maruna niecierpliwie:

Kto wy jesteście?

Wala.

Ha, ha! dziś sobie przypomnieć nie możesz,
ktom ja, w pielgrzymim stojący łachmanie
przed jasną panią! — A przecież te usta,
te dumne usta twoje wymawiały
niegdyś tak często me imię...

Maruna patrzy — po chwili:

Ty — Wala?!

Wala.

Tak.

Maruna.

Pocoś przyszedł?

Wala.

Przebacz mi, doprawdy...
nie mogłem... Klnę się Bogu... Jagna! — Ja tu
nie chcę ci czynić wyrzutów...

Maruna.

Wyrzutów?

Wala.

Piję od rana — by zebrać odwagę,
albo się... przemóc. Myślałem, że zdołam

odejść stąd — uciec — znowu... Klątem ciebie
niegdyś — dziś jeszcze... lecz w tej chwili... Boże!
nie wiem, dlaczego przyszedłem! Musiałem —
odejdę zaraz. Tyś mnie tak zdeptała,
na wiecheć słomy starłaś moje życie...
lecz ja... nie! nie klnę! — ja cię błogosławię
za sen mój, za to krótkie moje szczęście...
Odejdę zaraz. Jużem cię zobaczył —
widział... To tyś jest!... Już nigdy... za życia...
Powiedz mi jeszcze raz, żeś mnie kochała!

Maruna.

Nie kochałam cię nigdy.

Wala.

Jagna!

Maruna.

Czego chcesz? powiedziałam ci już, — możesz odejść tedy.

Wala w najwyższem pomieszaniu — błagalnie:

Przypomnij sobie! — tam — u leśnego szlachcica, krewnego mojego, gdzieś się chowała po spaleniu zamku twych ojców. — Byłaś prawie dzieckiem... Jagna! — ta wiosna nasza — czy już nie pamiętasz? Te kwiaty na łąkach, ten las — taki pachnący, to upojenie! — Jagna! ja dziesięć lat już żyję tem wspomnieniem! — i zdycham przez to, że to wspomnienie jest tylko! — Darmo chcę uciec; idzie za mną po wszystkich drogach, nie opuszcza

we dnie ani w nocy! A kiedy już myślałem... że wreszcie... Tutaj los mnie przywiódł... ten posąg... w kościele... podobny... Maruna,... Kiedym się dowiedział, że ty... że to ty jesteś... tu mieszkasz... Ja wiem, nie byłem ci dosyć — student, szlachcic ubogi — tobie, księżniczce... i dlatego ty wówczas... Dlaczego milczysz? Jagna! Przecież tyś mnie kochała?

Maruna.

Nigdy!

Wala z przerażeniem:

Nie mów!... nie odbieraj mi... Ja tem żyję! Proszę cię... jak żebrak... daj mi jałmużnę... Pójdę zaraz... Skłam, a powiedz, żeś mnie kochała! —

Maruna.

Nigdy.

Wala z rozpaczą:

Więc czemże było to wszystko? twoje pocałunki? twoje omdlenia? twój dreszcz w mych ramionach?—

Maruna ze wstrętem:

Ach!

Po chwili:

Wiedz-że, iż ze wstrętem, wstydem, z odrazą myślę o tych dniach, które ty nazywasz szczęśliwemi! — Zapomniałam już o nich była, jak o błocie, które przedwczoraj zawalało mi trzewice, ale

tyś mi sam przypomniał, ty — głupcze! który sądzisz, żem ja cię kochała!

Wala.

Jagna! —

Maruna.

Dzieckiem ja byłam; budziły się we mnie tęsknoty, pragnienia, krew moja młoda we mnie się rozbudziła, moja dumna, książęca krew! — a ty, jak złodziej, kradłeś każdy jej dreszcz nieświadomy, przenajdroższe klejnoty jej kradłeś, nie dając mi w zamian nic, nic, nic! — żebraku! Niczem dla mnie byłeś, złodzieju! — a dzisiaj jesteś ohydny! Nienawidzę cię! — precz! —

Odwraca się.

Wala stoi przez chwilę, jak gromem rażony — potem nagle wybucha:

Ha, ha! więc pani bawić się raczyła mną, swym pachołkiem! krwi swojej gorącej upust jeno dawała, a ja, szaleniec! życie zmarnowałem przez to! — I dzisiaj — jak pies pokorny — łasić sie tu jeszcze przychodzę i żebrać — o jedno kopnięcie nogą! Hej, ty jasna pani! pies i gryźć potrafi! Wino mi zaszumiało we łbie...

Maruna.

Ty grozisz? ha, ha! — Precz stąd, pijany włóczęgo, bo cię pachołkami wyrzucić każę!

Wala.

Wyrzuć! — przed małżonkiem swoim poskarż się na mnie, przed jasnym panem, którego wczoraj jeszcze zdradzałaś — ty!

Maruna.

Co?!

Wala.

Nie udaj cnotliwej żony przedemną, ty dumna pani! — bo ja cię znam! — Ja już w odstawce, jest już kto inny... Ale jeśli ty chcesz tak samo i jego... ha, ha! — Nie powiedziałem mu dotąd, ktoś ty jest — przez litość nad tobą, bo on cię ma za świętą, za anioła, on...

Maruna.

Kto?!

Wala.

Twój gach!

Maruna klaszcze w ręce.

Hej! służba!

Wpada dwóch pachołków.

Maruna.

Wyrzucić mi tego pijaka!

Odchodzi do swoich komnat.

Pachołkowie szamocą się z Walą.

W przedsionku pojawia się Kuno, z gołą głową, już bez zbroi, z krótkiem jeno mieczykiem u pasa.

Wala.

Precz mi, psie ścierwa! — Ja szlachcic jestem — i sam wyjść potrafię! —

Kuno.

Co to za człowiek? — i czego chciał tutaj?

Pachołek.

Nie wiem, jasny panie... Przyszedł snadź po pijanemu...

Drugi.

My go puścili na rozkaz pani, a teraz...

Kuno.

Co? — Do Wali: Tyś po co tutaj?

Wala zmęczony i rozpalony szamotaniem się z pachołkami:

Co ci do tego! — Z drogi, stary bawole!
Chce go odepchnąć i wyjść.

Kuno chwyta go za kark.

Stój! — Po coś tu przyszedł!

Wala.

Chcesz wiedzieć koniecznie? — Nie do ciebie, jasny panie, jeno do żony twojej, którą znam dawniej niż ty! i lepiej! — Chce wyjść.

Kuno odtrąca go.

Łżesz, włóczęgo!

Wala.

Ha, łżę! — A pilnuj jej ty lepiej, panie, aby się po nocach do klasztoru nie skradała, do gachów! —

Kuno rzuca się ku niemu.

Coś ty powiedział?

Wala oprzytomniawszy, cofa się.

Jezu! — co ja robię...

Kuno chwyta go za gardło.

Powtórz, ty psie parszywy! powtórz! — a jeżeliś zełgał, to końmi cię każę rozedrzeć! —

Rzuca nim o ziemię.

Wala wstaje powoli.

Panie..., każ mnie ty zaraz końmi rozedrzeć, bo ja... zełgałem... po pijanemu, przez złość... Bogiem się świadczę, żem skłamał — ona niewinna...

Kuno przykłada mu mieczyk do gardła.

Mów, co wiesz! —

Wala.

Nie rzekę już ani słowa, choćbyś mnie ogniem przypiekał. Zełgałem. Każ mnie włóczyć końmi, panie.

Kuno.

Mów, bo żgnę!

Wala.

Żgaj!

Kuno po chwili opuszcza miecz.

W tem coś jest... — Do pachołków: — Wziąć mi tego człowieka i zamknąć, a strzec, jak oka w głowie. — O tem, co tutaj zaszło, ani słowa — nikomu! rozumiecie — jeśli wam życie miłe! — Precz! — Wezwać mi tutaj klucznika.

Pachołkowie wyprowadzają milczącego Walę.

Kuno przechadza się przez chwilę wzburzony po sali, — zagląda za kotarę, — spuszcza ją, — powraca na środek.

Spokoju! spokoju! — tu trzeba spokoju!

Klucznik wchodzi po chwili.

Raczyliście mnie wezwać, panie?

Kuno siada za stołem.

Tak...

Klucznik po chwili milczenia:

Czekam na wasze rozkazy...

Kuno wznosi głowę.

Stary, wszak to już pół wieku dobiega, jak służysz mi — w tym zamku?

Klucznik.

Tak, rycerzu. A przedtem służyłem waszemu ojcu.

Kuno.

Wychowałeś mnie. Zaprawiałeś mnie, pacholę, do konia i miecza. Wodziłeś na łowy. Pod twojem okiem zakłółem pierwszego dzika, niedźwiedzia-m pierwszego rozciągnął i pierwszego zwalił wroga.

Klucznik.

Tak, panie. Chlubię się tem, że sławny i dzielny rycerz Kuno we mnie miał nauczyciela. Przesłużyłem wam wiernie całe życie, setkę bitew z wami stoczyłem, setkę odbyłem łowów — i dziś, zniedołężniały już, służę wam jeszcze, jak mogę, z tym pękiem kluczy u pasa strzegąc waszego dobra a syna jedynaka wychowując, aby kiedyś, jak ja wam i ojcu waszemu, służył wiernie waszym dzieciom.

Kuno.

Ja nie mam dzieci, stary.

Klucznik.

Panie! toż sił wam nie brak jeszcze, a młodą żonę macie, którąście niedawno dopiero w dom wprowadzili!

Kuno.

Tak, mam młodą i piękną żonę, a patrz: broda mi już posiwiała, łeb mój poorany bliznami —

i przez dwa lata bez mała w domu mnie nie było...

Klucznik schyla głowę.

Kuno.

Stary! czemu nie odpowiadasz?

Klucznik.

I cóż ja wam odpowiem, panie? Jeśli Bóg zechce, doczekacie się potomstwa.

Kuno wstaje i przechodzi kilkakrotnie w milczeniu przez salę. Wreszcie zatrzymując się, mówi:

Stary, czy widziałeś tego człowieka, który był tutaj przed chwilą?

Klucznik.

Tak, panie. Za wolą pani sam go wpuścić kazałem.

Kuno.

Co tu robił?

Klucznik z wahaniem:

Nie wiem. Pani rozmawiała z nim sam na sam. Na schodach dochodził mnie gwar głośnej rozmowy, ale słów nie mogłem rozróżnić...

Kuno.

Nie słyszałeś ani jednego słowa? co? ani jednego?

Czy nie żądał od pani jakiej... nagrody..., zapłaty... za przemilczenie? co? nie słyszałeś?

Klucznik żywo:

Nie, panie, nic nie słyszałem.

Kuno chodzi znowu, potem staje.

Ten człowiek rzucił na żonę moją straszną... potwarz.

Klucznik.

Więc każ go, panie, wbić na pal.

Kuno.

A jeśli — to prawda, co on mówił?

Klucznik po chwili — trochę niepewnie:

A! — skądże...

Kuno.

Nieszczerze zaprzeczasz, stary! — Ty wiesz, co on powiedział! —

Klucznik.

Nie wiem, panie, nie wiem...

Kuno.

Słuchaj, wszak ty nie dopuścisz hańby na moją głowę siwą! — Jeśli tu wokoło wszyscy już wiedzą — i szydzą ze mnie... dziewki i pachołkowie, — a tylko ja jeden.... Na bitwach tam byłem, la-

tem krew, i — ja siwy — 'widzisz, ja ją — kocham, a tutaj może... tymczasem... Słuchaj, czy prawdę rzekła moja żona, że nie przestąpiła nawet tego progu? —

Klucznik potrząsa głową.

Kuno.

Nie przestąpiła? we dnie ani... w nocy?

Klucznik.

Tak, progu tego nie przestąpiła...

Kuno.

A tutaj — nie przychodził — nikt?

Klucznik.

Aż do dzisiaj nie postał tu nikt z mężczyzn, chyba ja stary i syn mój, Heno, dziecię jeszcze, który pani służy...

Kuno.

Czy przysięgniesz mi na to?

Klucznik.

Tak, na to przysięgnę...

Kuno oddycha z ulgą.

Bogu niech będą dzięki najwyższemu! — Każ dla oszczercy przygotować pal! —

Klucznik stoi w milczeniu.

Kuno.

Czemu nie idziesz? Wszakże jeśliś ty prawdę powiedział, to on skłamał! —

Klucznik nie ruszając się:

Tak... ale...

Kuno.

Przysiągłeś, a boisz się wziąć na siebie jego krwi?

Klucznik.

Stary już jestem...

Kuno.

Co?

Klucznik.

Nie wiem, panie, jak wam to powiedzieć, bo to bajki są może, zwidzenia tylko...

Kuno.

Mów!

Klucznik.

Jeśli każecie, bym mówił...

Kuno.

Tak. Każę.

Klucznik po chwili:

Progu tego żona wasza nie przestąpiła, ale... podobno... co noc prawie — wychodziła... przez to okno!

Kuno.

Jezus Maryja! — Stary, czyś ty oszalał? co? jak? którędy?

Klucznik.

Uspokójcie się, panie; na wasz rozkaz mówię...

Kuno siada.

Mów, mów. Widziałeś?

Klucznik.

Od jakiegoś czasu dziewki bajały, że w księżycowe noce upiór się pojawia na gzymsie idącym od tego okna ku klasztorowi. W bitwach bywałem, dużo śmierci widziałem, ale upiora... Zresztą stary już jestem, nie boję się...

Kuno.

Do rzeczy.

Klucznik.

Chciałem więc zobaczyć..., przyczaiłem się i zobaczyłem...

Kuno.

Mów.

Klucznik.

Waszą żonę, panie. Przesunęła się w bieliźnie, przyczepiona do muru tam, wysoko! — i zniknęła w pierwszem oknie klasztornem. O jutrzni dopiero widziałem ją powracającą, gdy dzwony bić zaczęły...

Kuno.

Jezu, Jezu!...

Klucznik.

Kazaliście mi mówić, panie, więc powiedziałem. Ale mnie się może zdawało. Stary już jestem i słabe mam oczy...

Kuno daje mu znak ręką, aby zamilkł.

Od dawna ją — tak już — widywano?

Klucznik.

Przed kilku tygodniami pono raz pierwszy, — straż spostrzegła... Odtąd co noc, gdy miesiąc tylko świecił...

Kuno.

Co noc... Wiedzą już wszyscy?

Klucznik.

Nie wie nikt. Nie rzekłem ni słowa. Myślą że upiór.

Kuno.

Dobrze. — Idzie ku oknu, wygląda.
W głowie się zawraca, gdy spojrzeć z tej wyso-

czyzny. I ona się odważyła... — Wstrząsa się. — Ha, ja jestem już stary, w trudach obozowych sterany, a to musi być młody, piękny mnich... Jakże ona kochać go musi, co, stary, kocha go? ha?

Klucznik.

Panie...

Kuno z wybuchem:

A ten łotr, ten łotr pozwala, aby ona... co noc... między życiem a śmiercią,... zamiast żeby on sam... — Urywa. — Stary! co ja plotę...? W głowie mi się już...

Po chwili — znowu z wybuchem:

Ha, ha! kocha go! — A może jej się tylko... zachciało... Dwa lata męża nie było, a mąż już stary — ha, ha, ha!

Klucznik.

Panie, powtarzam, to nie jest pewne, — może ja się omyliłem..., to może nie ona...

Kuno po chwili milczenia:

Co noc, co noc ją widywano?

W przedsionku pojawia się Heno. Spostrzegłszy mężczyzn żywo rozmawiających, chowa się za filar.

Klucznik.

Tak..., postać ukazuje się zawsze, gdy tylko księżyc świeci...

Kuno.

Dzisiaj noc księżycowa?

Klucznik.

Pełnia jest, panie.

Kuno.

Dobrze. Dzisiaj wieczór będziesz tutaj ze mną. Chcę się przekonać. Pani zapowiem, że noc spędzę z gościem mym, pośród mojego rycerstwa, na dole. I ty tak wszystkim powiadaj, aby się nie domyślano...

Klucznik.

Tak, — ale...

Kuno.

Już powiedziałem. — Spostrzega Henę. — Kto tu?

Heno.

Darujcie, panie... Szedłem zapytać, czy pani służb moich nie potrzebuje...

Klucznik.

To syn mój, Heno. — Zwraca się do niego. — Precz stąd, błaźnie!

Heno.

Ojcze, ja tylko chciałem...

Klucznik.

Wynoś się, mówię!

Heno.

Ojcze!...

Klucznik.

Precz! —

Heno zdławionym rozpaczą głosem:

Ojcze! coście wy zrobili! — Wybiega.

Klucznik zbliża się do pana, który w głębokiej zadumie usiadł był pod oknem.

Kuno wznosi naraz głowę.

To syn twój?

Klucznik.

Tak, panie. Znacie go. Jedyná to moja pociecha, to chłopię...

Kuno.

Twój syn, twój... Czy wiesz napewno, że twój?

Klucznik.

Wiecie, panie, że żona moja leciwa już była i nie zbyt powabna, kiedy on przyszedł na świat...

Kuno.

Tak, tak, — miałeś na tyla rozumu, żeś nie wziął

na starość młodej i pięknej żony — i nie potrzebujesz teraz gachów jej wyłapywać!

Zrywa się.

A! i tamten drugi! — włóczęga! — Mówił, że zna ją dawniej... i lepiej... odemnie! Ha, ha! tu cały hufiec znaleść się gotów, cały hufiec u jasnej pani — na hańbę moją, na moje przekleństwo...

Urywa.

Klucznik.

Panie...

Kuno spokojnie:

Odejdź już. Mrok pada. Niechaj tu wniosą pochodnie. A ty każ na dole w sali rycerskiej zastawić mięsiwo, beczki miodu i piwa dla gości, dla rycerstwa mojego, z którem goniłem po świecie za sławą, za czcią... Idź już, a bądź gotowy, kiedy cię zawezwę.

Klucznik wychodzi.

Kuno po jego odejściu siedzi przez dłuższy czas w głębokiem milczeniu. Tymczasem wchodzi pachołek i zakłada dwie płonące pochodnie w żelazne pierścienie przy murze. Gdy wyszedł, Kuno wstaje i z nagłem postanowieniem zbliża się do drzwi niewieścich komnat.

Kuno unosząc zasłony, woła:

Miłościwa pani!

Maruna wchodzi w otoczeniu swych sług.

Wołacie mnie, mężu?

Kuno.

Widzieć was chciałem... Czy nie możecie odprawić tych dziewek?

Maruna.

Jak wola wasza. — Do dziewek: — Odejdźcie, — nie będę was już dzisiaj potrzebować. — Berta niech tylko zostanie jeszcze w mojej izbie i pościel mi przyrządzi...

Trzy dziewki wychodzą przez przedsionek.

Berta powraca do komnat niewieścich.

Maruna.

Czegoście chcieli odemnie?

Kuno.

Żono, nie przywitałem się jeszcze z tobą...

Maruna podaje mu w milczeniu czoło do pocałowania.

Kuno całuje ją.

Zimne masz czoło — i takie białe... Czyż nigdy się ono nie pokrywa rumieńcem?

Maruna.

Owszem, panie.

Kuno.

Pod mojemi ustami zawsze było białe, — więc kiedyż, kiedyż się rumieni?

Maruna.

Gdy się wstydzę, panie.

Kuno.

Blade było, kiedy się z tobą witałem....

Maruna.

Przed wami nie mam się czego wstydzić...

Kuno.

A przed sobą? —

Maruna.

Co wam do tego?
Ja kościół wzniosłam mojemu wstydowi,
wstyd swój zamknęłam w duszy, jak w kościele:
nikt nie ma wstępu do mojego wstydu...

Kuno.

Dziwne to słowa...

Maruna.

Ale szczere, panie.

Kuno.

Szczerze powinna zawsze mówić żona cnotliwa...

Maruna.

Czyż nie jestem taką?

Kuno.

Zapewne, — dlaczegóżby miało być inaczej! Wziąłem ciebie, dziewczynę bez ojca i matki, z książęgo wprawdzie rodu, ale ubogą i nieznaną. Powróciłem ci świetność, uczyniłem cię żoną moją i panią, zbytkiem otoczyłem — a wszystko dlatego jednego, żem ja cię pokochał! —

Maruna.

Czemu mi o tem mówicie?

Kuno.

Czemu? — ażeby powiedzieć, że wierzę w twoją uczciwość. Nie miałem od ciebie miłości nigdy, — wiem o tem, jestem już za stary, — więc przynajmniej wierną być mi musisz, bodaj przez wdzięczność tylko — wszak prawda? — Tybyś nigdy hańby nie ściągnęła na siwą, bliznami pooraną głowę moją? — co? nigdy?

Maruna.

Czy wątpicie o tem, panie?

Kuno.

Niechaj nas Pan Bóg od wszelkiej wątpliwości zachowa! —

Maruna.

Dziwny wasz głos... Wy, panie, skrywacie coś w sercu przedemną?

Kuno.

A ty, czyż ty nie masz dla mnie żadnych tajemnic?

Maruna.

Ja...?

Kuno.

Tak. —

Maruna.

Mam tajemnice. Niektóre są różowe, z lekkiej mgły, z pereł i ze śniegu, — to moje dziewczęce sny, panie. — Chowam je w sobie, bo prysnąćby musiały, gdybyście wy je dotknęli...

Kuno.

Mówisz pięknie i kwieciście. Ja jestem twardy człowiek i na takich słowach się nie znam. — A innych tajemnic nie masz już?

Maruna.

Owszem, — mam i inne, głębiej jeszcze ukryte. To złe, podłe wspomnienia z mojej przeszłości, z dzieciństwa mojego... — Wstrząsa się. — Ach! przypomniano mi dzisiaj jedno z nich...

Kuno.

Czyżby to uczynił ten obcy człowiek, którego spotkałem?

Maruna.

Tak, panie. Czyście z nim mówili?

Kuno.

Nie. Nie mówiłem. Dlaczego kazałaś go wyrzucić?

Maruna.

Obraził mnie. A przytem...

Kuno.

Co?

Maruna.

Wstrętny mi jest. Znałam go dawniej...

Kuno.

Nie mówiłaś mi nigdy...

Maruna.

I po co? Co wam do tego, panie, co było? Czy wam to nie dość, żeście mnie wzięli dziewicą i że ja wierna wam jestem?

Kuno patrzy jej w oczy...

Słusznie... Wszak mogę być pewien, że nie zdradziłaś mnie nigdy, nawet we śnie! —

Maruna.

Sen — to jest moja własność. Wam oddałam
ciało me młode, — czyż wam to nie starczy?
Wszakże niczego nie chcieliście więcej! —
do snów więc moich wy nie macie prawa!

Kuno.

A gdybym zechciał i snów ci zakazać?

Maruna.

Ja bym was, panie, wtedy przeprosiła,
że sen mi czasem powieki przymyka —
i śniła dalej...

Słychać dźwięk trąb i okrzyki z dolnej sali.

Kuno.

Wy o snach mówicie,
a tam — słyszycie? — bawią się rycerze,
wierni druhowie moi w krwawych bitwach...
O gospodarza pytają tam pewno,
a ja tu przy was... i o snach rozprawiam,
jak stara baba!

Maruna.

Więc tam idźcie, panie.

Kuno.

Jakoż mi tam iść? Wyście moja żona
młoda i piękna... Wy stęsknieni pewno,
i dziś noc pierwsza po długiej rozłące
dla nas...

Maruna.

Gdy chcecie, panie... ja posłuszna...

Kuno.

Posłuszna tylko? — ja wierzę, że chętna!
co? czy nie prawda?

Maruna.

Zbyt znużona jestem,
lecz gdy każecie...

Kuno.

Nie! nie każę. Owszem,
ja was przyszedłem prosić o zwolnienie...
Ślub uczyniłem był wśród srogiej bitwy,
gdy zwalon z konia — wierności mych druhów
zawdzięczam jeno, że żyję, iż pierwszą
noc po powrocie do domu w ich kole
spędzę, wyrzekłszy się waszej pieszczoty
dla nich. Czy za złe mi to macie, żono?

Maruna.

Za złe?! —

Kuno.

Zbyt głośno rzekliście te słowa
i mnie się zdało, że brzmiały radośnie...
Lecz to omyłka była, jestem pewien...

Maruna patrzy zdumiona.

Dziwnie wówicie, panie. Mnie się widzi,

że zazdrość dzisiaj weszła wam do serca.
Przecież wam w myśli nie jest ów włóczęga! —
A jeśli chodzi o tego rycerza...

Kuno.

Tak, o rycerza...

Maruna ciągnie dalej:

który mówił ze mną...
Bądźcie spokojni! ten rycerz szalony
jednej godziny snu mi nie zabierze!

Kuno rad z tego obrotu rozmowy.

Jednak ja wolę mieć go dziś na oku;
zbytnio go piękność wasza poruszyła.
Gotów się wymknąć, gotów pod oknami
waszemi śpiewać wedle obyczaju,
który panuje na cesarskim dworze!
Głupi obyczaj, nieprawdaż? — przeszkadza
w spaniu. Na krok go nie odstąpię, — musi
pić razem ze mną do rana! — pić musi!
Za próg go nawet nie puszczę z komnaty!
aby wam we śnie nic nie przeszkodziło! —

Maruna.

Tak, potrzebuję snu, zmęczona jestem...
Dzięki wam, mężu, bawcie się wesoło!
Snu spokojnego trzeba mi — doprawdy...

Berta staje w progu.

Pani! posłanie wasze przyrządziłam już. Czy zechcecie się położyć?

Kuno.

Śpijcie spokojnie żono. O mnie śnijcie.
I ja tam w kole moich towarzyszy
będę wciąż myślał o was i puhary
za wasze zdrowie spełniał. — Bądźcie zdrowi.
Wyście dwa lata przez ten próg nie przeszli;
i ja przysięgam na Mękę Chrystusa,
że nie przestąpię dzisiaj tego progu!
Śpijcie spokojnie, droga, wierna żono! —
Wychodzi.

Maruna zwraca się zwolna ku drzwiom sypialni.

Zaledwie pan wyszedł, wpada Heno, który na schodach ukryty, czekał był tylko jego odejścia. Biegnie ku pani, zatrzymuje ją przy drzwiach.

Heno.

Pani!...

Maruna odwraca się zdziwiona.

Czego chcesz?

Heno pogląda niespokojnie na Bertę.

Pani... muszę wam — jedno słowo...

Maruna.

Mów!

Heno stłumionym głosem.

Nie wychodźcie wy dzisiaj!

Maruna.

Co?

Heno *z rozpaczliwem błaganiem:*

Nie wychodźcie! — —

Maruna.

Czyś ty nie oszalał, chłopcze! Miodu ci snadź dano tam na dole i ty... Idź spać, dziecko, noc już. *Chce odejść.*

Heno *zatrzymuje ją.*

Pani! zrozumcież mnie na miłość boską!... Wy mi nie ufacie, a przecież ja... Widzicie... mój ojciec... nie! — to jest — pan... Nie wychodźcie! — bo on tu będzie!

Maruna.

Kto?

Heno.

Wasz mąż!

Maruna *zdumiona — wyniośle:*

Czyż nie wolno panu być, gdzie mu się podoba? Cóż tobie, sługo, do tego?

Heno.

Pani! pani! — wy tak nie mówcie! Chciejcie mnie zrozumieć... Ja was... tak kocham, że nawet... choć to tak strasznie... O, Jezu!

Maruna patrzy nań przez chwilę, wreszcie mimowoli uśmiecha się z lekkim smutkiem, sądząc, że to zazdrość chłopcu zmysły odebrała.

Idź spać, chłopczyno — dzisiaj tutaj nikt nie wejdzie. Dziś pan z rycerstwem spędzi noc na dole... Idź, chłopcze.

Wchodzi do sypialni, za nią Berta.

Heno woła jeszcze:

Pani! — Niema odpowiedzi. W najwyższym niepokoju biega po sali, powtarzając do siebie:

O, Boże! o, Boże! — jak ją tu ratować! —

Biegnie ku oknu, wyciąga zaciśnięte pięści:

Ach ty! przeklęty! — to wszystko przez ciebie! Bodaj cię spotkała śmierć! — bodaj... — Urywa.

Po chwili.

A przecież — ona go kocha!...

Zwraca się twarzą ku drzwiom.

Kochasz go, jasna, moja, złota pani? Ty go kochasz!... A ja... ja życie... dla ciebie...!

Pada na krzesło przed organkami.

Wśród ciszy dolatuje z dołu odgłos okrzyków biesiadujących.

Berta wchodzi, spostrzega Henę.

Ty jeszcze tutaj? — Podchodzi ku niemu. — Czy na mnie może czekałeś, Heno?

Heno patrzy na nią nieprzytomnie.

Tak. — Nie. — To jest... Co pani robi?

Berta.

Rozdziewa się — sama. Nie chciała dziś mojej pomocy. — Kazała tylko spuścić tę zasłonę, aby jej księżyc we śnie nie przeszkadzał. —

Zbliża się do drzwi i podniesioną przez kasztelana zasłonę opuszcza znowu.

Gdy jest podniesiona, to miesiąc, wschodząc, pada z tego okna wprost na jej łoże...

Heno zbliża się do niej.

Berta, słuchaj, idź ty jeszcze do pani...

Berta.

Nie można!... Pani spać się kładzie! —

Przystawia sobie krzesło i wyjmuje płonące pochodnie z żelaznych pierścieni. Zszedłszy, odwraca się jeszcze.

Heno, i ja już idę spać...

Heno w myślach — z roztargnieniem:

Idź...

Berta.

Heno, dawniej — toś ty mi mówił: dobranoc...

Heno.

Dobranoc.

Berta.

Czy nie sprowadzisz mnie ze schodów?

Heno.

Nie, nie. Idź już. Ja zaraz... Idź już, mówię!

Berta wychodzi, biorąc pochodnie ze sobą. Ciemno jest.

Heno stoi przez chwilę bez ruchu. Naraz drgnął; powziął widocznie jakieś postanowienie. Zbliża się do zasłony — nadsłuchuje. Potem wraca na środek, żegna się, wyjmuje z zanadrza chustkę, którą był znalazł, całuje ją, chowa znowu. Zda mu się, że dosłyszał jakiś szelest, — ogląda się z lękiem: nie! cicho dokoła. Wyjmuje puginał, próbuje ostrza, wsuwa znów do pochwy. — Teraz rzeczywiście słychać kroki. — Biegnie ku zasłonie i kryje się w jej fałdach, podnosząc ją przez to tak, że otwór drzwi jest odsłonięty.

Drzwiczki w murze otwierają się, wchodzi Kuno i Klucznik.

Klucznik.

Ja wam mówię, panie...

Kuno.

Cicho! — Czyś nie słyszał szelestu? — Coś się tutaj poruszyło...

Klucznik.

Nie, — nic nie słyszałem...

Kuno nadsłuchuje.

Głos biesiadującego rycerstwa dolatuje tylko z dołu. Sądzisz, że nie spostrzegli, gdyśmy się wymknęli do kościoła?

Klucznik.

Nikt nie zauważył, ale...

Kuno.

Człowiek tam jakiś leżał krzyżem na posadzce. Omal że nie nastąpiłem nań, idąc na chór, ku temu przejściu. — Stary, która to może być godzina?

Klucznik.

Księżyc wnet wzejdzie...

Kuno.

Księżyc powiadasz... A o księżycu...

Klucznik.

Tak, — zazwyczaj...

Kuno.

Słuchaj, a może tobie się tylko zdawało? co?

Klucznik.

Ja tak myślę, panie, że pewno mi się zdawało tylko. Powróćmy do izby biesiadnej. —

Kuno.

A jeśli, jeśli...?

Klucznik.

Panie, choćby to nawet i prawda była, to przecież dzisiaj...

Kuno.

Masz słuszność, nie pomyślałem o tem. Dzisiaj, kiedy ja tu jestem... Co to? znów szelest?

Klucznik.

Nic nie słychać, panie. Pójdźmy do biesiadnej sali...

Kuno.

Czekaj. — Przyznała, że ma tajemnice... Cieszyła się, gdym powiedział, że noc spędzę na dole i zatrzymam — tego... rycerza, aby nie błądził po wałach... Dziś ma ostatnią swobodną noc... Nie! nie! nie! — to niemożliwe! —

Klucznik.

I ja tak myślę. Pójdźmy.

Kuno.

Patrz! — księżyc wschodzi!

Wskazuje na jasną smugę srebrnego światła, która pada z okna wprost na drzwi sypialni Maruny.

Klucznik niespokojny:

Pójdźmy...

Kuno siada obok stołu.

Serce mi bije... Nieraz obok mnie padały trupy, śmierć przechodziła blizko, a ono nie drgnęło nawet pod pancerzem, – dzisiaj... jak młotem...

Klucznik.

Jutro będziecie, panie, spokojniejsi. Odłóżcie to do jutra...

Kuno wstaje.

Masz słuszność. Zresztą tobie się pewnie zwidziało. To nie prawda. I tamten człowiek zełgał, co? zełgał?

Klucznik.

Z pewnością...

Kuno.

Pójdzie jutro na pal. Końmi nawłóczyć każę.

Klucznik.

Tak, tak...

Kuno zwraca się ku wyjściu.

Pójdźmy...

Staje i odwraca się uderzony głosem z za okna dolatującym.

Śpiew rycerza.

Błądził po świecie rycerz w orlich piórach,
świętości sługa i cnoty,
aż stanął w zamku zaklętego murach,
gdzie warkocz błysnął mu złoty...

Kuno.

To ten obcy rycerz śpiewa pod oknami. — Obudzi panią...

Klucznik.

Nie! w pani komnatach głosu nie słychać, a zresztą...

Śpiew rycerza odzywa się znowu:

I już nie błądził rycerz w orlich piórach
po polach ni miastach ludnych —
i już nie szukał gwiazdy na lazurach, —
o, najcudniejsza z przecudnych!

Kuno.

Daj mu znak, aby zamilkł!

Klucznik podchodzi do okna i daje znaki.

Spostrzegł mnie — i opuścił rękę z lutnią...

Kuno odwraca się żywo.

Coś się poruszyło... — Po chwili:
Nie, nie, zdaje mi się tylko. To tętna moje biją. Tak..., najcudniejsza z przecudnych. — Wracajmy do sali. To przecież szaleństwo. To jest niemożliwe...

Klucznik.

Wracajmy...

Kuno.

Cicho! — teraz słychać coś naprawdę!

Klucznik, który również szelest dosłyszał:

Nie! nie! nie!

Kuno nadsłuchuje.

Znowu! —

Klucznik z lękiem.

Pójdźmy już, panie, zaklinam was! —

Kuno.

Milcz! —

Wśród grobowej ciszy słychać lekki szelest kroków. Po chwili we drzwiach sypialni ukazuje się **Maruna** — w bieliźnie, stopy ma bose, włosy rozpuszczone. Stąpa w smudze księżycowego światła ze wzniesioną nieco głową, zamkniętemi oczyma i rękoma wyciągniętemi przed siebie. **Kuno** zapierając dech w piersiach patrzy; jedną dłoń wpił kurczowo w ramię Klucznika, drugą mimowoli wsparł na rękojeści mizerykordji. Tak jest pochłonięty zjawieniem się żony, że nie spostrzega nawet **Heny**, który wyszedł był z ukrycia i z zapartym tchem — bezradny patrzy na zjawisko. — **Maruna** tymczasem, sunąc się jak cień, doszła do okna. Dłonie wyciągniętych rąk trafiają na zamek; odruchowo, sennie otwiera okno i staje na niem. Chwila jeszcze i niknie, wysunąwszy się na gzyms.

Kuno, który stał dotychczas nieporuszony, nagle wyrywa mieczyk i z okropnym krzykiem rzuca się ku oknu.

Heno spostrzegłszy pierwszy jego ruch, skacze przeciw niemu jak kot — z puginałem w dłoni.

Umrzyj!

Uderza, ale ostrze zesuwa się po szerokim skórzanym pasie rycerza.

Kuno nie zważając prawie, kto go zaczepił i co sam robi, uderza mieczykiem chłopca w pierś i wali trupem na ziemię. — Dopadł do okna — wychyla się:

Łuk mój!

Porywa łuk ze ściany, wychyla się ponownie i puszcza strzałę. Za oknem straszny bolesny krzyk.

Do sali, na odgłos hałasu, wpadają **rycerze** od biesiady, niektórzy jeszcze z dzbanami w dłoniach. Wśród nich **pachołkowie** z pochodniami.

Głosy.

Co to jest? Co się stało?

Kuno stoi jak zmartwiały obok okna. Patrzy błędnie na zebranych, wreszcie daje znak ręką:

Idźcie, idźcie...

Klucznik klęczy przy trupie chłopca.

Syn mój! — syn mój! — Heno!...

Akt trzeci

Przedsionek kościelny, w głębi zamknięty kratą, w której szeroko rozwarte drzwi. Przez kratę widno w poprzek przebiegającą ciemną nawę gotyckiego kościoła. Gdzieś na lewo, przed niewidocznym wielkim ołtarzem, płonie lampa. W słabym migotliwym blasku drżą długie cienie smukłych kolumn, — tu i ówdzie na ścianie błyśnie obraz złocony. — W przedsionku jest jasno od porannego słońca, padającego przez witraże u góry. — Na prawo i lewo w ścianach — nagrobki rycerzy. Drzwi jedne — od przodu. — W głębi, pod ścianą z prawej strony ustawiono czerwonem suknem okryte siedzenia. Zajmują je klasztorni dostojnicy w tej chwili; O. Hilgier, opat, między nimi, i O. Damazy, zakonu inkwizytor, i O. Anioł, za świętego uważany powszechnie asceta. Obok za stołem — dwóch zakonnych pisarzy — nad plikiem aktów, z gęsiemi piórami w ręku. — Po przeciwnej stronie kupią się znakomitsi z rycerstwa Kunowego; on sam stoi na środku. Jest też Rycerz obcy, w zbroi z orlemi skrzydłami. — Kilku pachołków na przedzie.

Kuno odetchnął głęboko; kończy przemowę:

Zmierzam ku końcu, czcigodni ojcowie!
Wszystko już wiecie. Otóż te poszlaki

mając na względzie, oskarżam mą żonę,
wczoraj po nocy zranioną przezemnie,
Marunę Jagnę z książąt Pronu rodem
o wiarołomstwo!

O. Hilgier.

Ciężkie oskarżenie!
gorzko go słuchać!

Kuno.

Bardziej gorzko mówić —
przed wami — wobec tych grobów kamiennych,
w których przodkowie moi czestni leżą,
po życiu sławnie i górnie przebytem.
Niechaj i oni hańby mej słuchają,
i niechaj sądzą wraz z wami, ojcowie,
i z wami, lenni...

Rycerz.

Zbyt pospiesznie, grabio,
już obwiniacie...

Kuno.

Zamilczcie, rycerzu!
Wy gościem moim jesteście — i przednim
z rodu i czynów — i prawa szermierzem,
a więc wam oto dałem tutaj miejsce,
by pominięciem nie zelżyć was, panie.
Lecz raczcie milczeć, dopóki nie spytam
o zdanie wasze! —
Mógłbym ja-ci wprawdzie

sądzić sam, — sprawy to moje domowe,
i mam bezsprzeczną moc, jako małżonek
i jako ziem tych grabia, które cesarz
nadał mym przodkom z władzą samodzierżną
i prawem miecza. Wszakoż was wezwałem,
byście mnie wszyscy radą wesprzeć chcieli
w tej trudnej sprawie. Ja sam nie chcę sądzić;
zbyt to jest blizkie wszystko memu sercu:
mógłby żal łacno zaślepić me oczy,
mógłby gniew wyrok wypaczyć i skrzywić.
Wczoraj już gniewem uniesiony — wiecie —
niewinne chłopię zabiłem i mało
nie pozbawiłem życia wiarołomnej
bez sądu, nawet bez zbadania rzeczy.
Zresztą, sędziowie, nie tylko srogości
swojej się boję, ale także zbytniej
pobłażliwości. Mam sądzić kobietę,
która mi droższa jest, niż życie moje.
To znaczy: była... Zresztą: i jest może...
Gdybym sam zechciał sędzią być, to albo
w poczuciu krzywdy zemściłbym się zaraz,
albo — przebaczył! Sądzićbym nie umiał.

O. Hilgier.

Rycerzu! jeśli tu można przebaczyć,
to pocóż sądzić?

Kuno.

A te groby ciche?
te z głazów ojce moje i pradziady?

Co oni na to powiedzą, gdy hańby
nie zdejmę z siebie?

O. Damazy.

Niema przebaczenia
tam gdzie jest wina, grzech albo występek!
Jednemu Bogu przysługuje prawo
przebaczać! Nam zaś, sługom Jego, tylko
należy sądzić i karać grzech wszelki!

O. Hilgier.

A sąd? — czyż nie jest także prawem Boga?

O. Damazy.

To prawo Pan Bóg oddał człowiekowi,
by go tem ciężej pokarać za grzechy!

O. Anioł jakby do siebie:

Wszelki grzech karze Bóg! — a grzech jest wszę-
cały świat w mocy szatana! (dzie! —

Kuno.

Ojcowie,
rzekłem: oddaję sprawę w wasze ręce
i tych rycerzy, których zawezwałem,
aby świadkami tego sądu byli.
Ja sam — jak jeden tylko z pośród ławnych
wśród was zasiędę. Wy wszystko zbadajcie,
a jeśli winna jest ta, co mi była
do dziś dnia żoną, niech w murach klasztornych
dokona życia! — lecz jeślim się mylił

i oskarżenie lekkomyślnie rzucił:
stanę przed wami sam jak winowajca,
z radością gotów przyjąć kaźń Kościoła,
żem czystą żonę zniesławił i życie
jej na szwank podał.

O. Hilgier.

Niech się tedy stanie,
jak chcecie, grabio. Nic ja nie słyszałem
złego o waszej szlachetnej małżonce...
Żyła w ukryciu... Lecz słuszna rozpatrzeć
wszelkie poszlaki, gdy tego żądacie
od nas, jak sędziów. — Każcie ją tu przywieść,
niech naprzód sama mówi nam o sobie.

Kuno.

Słuszna. — Gdzie medyk?

Pachołek.

Wszedł przed chwilą właśnie...

Medyk zbliża się.

Ze zamku idę, od grabiny łoża...

Kuno.

Co słychać?

Medyk.

Żyje. To jest cud. Z wysoka
spadła...

Kuno.

A rana?

Medyk.

Strzała z lekka tylko
drasnęła ramię... Krew zatamowałem.

Kuno.

Dobrze. Czy zdoła przyjść tu?

Medyk.

Ja tak sądzę.
Omdlenie rankiem już minęło; teraz
silna się widzi nawet nad pojęcie.
Ale by lepiej było dać jej pokój...

Kuno do pachołków:

Niechaj tu panią wraz przywiodą sługi!

Posłaniec wychodzi.

Rycerz do siebie:

Boże ją ratuj, jeśli jest niewinna!

Kuno bierze z rąk giermka szeroki purpurowy płaszcz, odziewa się nim i siada pośród mnichów:

Uderzcie w trąby i tarcze miedziane!
Sąd rozpoczęty w Imię Pana Boga!
Dźwięk trąb przed kościołem.

O. Hilgier powstawszy:

Przyjdź, Duchu Święty, i oświeć nas prawie,

byśmy odkrywszy prawdę w onej rzeczy, wydali wyrok słuszny!

O. Damazy.

Amen!

Mnichowie powstawszy również:

Amen!

Powtórny dźwięk trąb.

O. Hilgier.

Przyjdź, Duchu Święty, i spraw, aby serca
nasze łaskawe były, ale mądre
i niewzruszone w sądzie!

O. Damazy.

Amen!

Mnichowie.

Amen!

Dźwięk trąb po raz trzeci, — sędziowie siadają.

Kuno do pisarza:

Czy przesłuchano służbę i straż? i owego człowieka, jako poleciłem?

Pisarz.

Uczyniono to wszystko, panie, zaraz o świtaniu dnia. Zeznania ich są tutaj spisane...

Kuno.

I co mówili?

Pisarz.

Wielce mętne i niewyraźne ich odpowiedzi. Jedna z dziewek służebnych kasztelanowej wyznała, że zaszedłszy kilkakrotnie po nocy do komnaty pani, w łożu jej nie zastała. Nie widział jej jednak nikt wychodzącej i nie wiadomo jaką drogą by mogła... Straż opowiada...

O. Damazy.

Co?

Pisarz.

...ale zdaje się, że ta rzecz nie ma z naszą sprawą związku. Otóż straż powiada, a także z dziewek niektóre, że widywano w księżycowe noce na gzymsie muru między zamkiem a klasztorem — upiora...

Szmer między mnichami.

Głosy.

I bracia widywali...
Już od paru miesięcy...
Brat Konrad mówił...
Ale to przecież niepodobna...
Nie, nie! — tamtędy żywy człowiek by nie przeszedł! — —

Pisarz ciągnie dalej.

Jedna z dziewek opisywała go nawet, — ma to być biała, trupia postać z zielonemi oczyma, zio-

nąca ogniem. To jednak, jak mówię, zda się nie należy do rzeczy...

Kuno.

Dalej, dalej, — może i należy!

Pisarz.

Zapytywano też Gertę, starą piastunkę pani. Ona jednak mówić nic nie chciała, miotając jeno klątwy co chwila na nas, którzyśmy ją badali. Została tedy zamknięta do lochu. — Odmawiał też wszelkiej odpowiedzi ów człowiek obcy, wczora przez pana pojmany. Milczał zawzięcie, choć mu palce szczypczykami nieco pociśnięto, aby głos zeń wydobyć... Raz tylko — jakby mimowolnie z ust mu się wyrwało, że raczej pozwoli się zamęczyć, niźli co wyda.

O. Damazy.

To jest rzecz ważna... i godna uwagi.

Wprowadzają Marunę. W biały strój jest odziana, jako w noc z łoża była wyszła. Włosy rozpuszczone opadają jej na barki i na ramię jedno odkryte i przewiązane opaską, na której lśnią ślady krwi. Blada jest i z trudnością trzyma się na nogach. — Ruch wśród obecnych.

Kuno spostrzegłszy wchodzącą, drgnął; mimowoli cofa się w tył.

O. Anioł rzuciwszy na nią okiem, zrywa się z mimowolnym okrzykiem przerażenia:

A!

Głosy mnichów, zdumionych wykrzykiem O. Anioła:

Co to?

O. Anioł stoi jak skamieniały, nie spuszczając oka z Maruny.

W Imię Ojca, Syna, Ducha! —
Jeśliś szatańskiem jest widmem, przepadnij!

Rycerz.

Jakoby słońce weszło do kościoła! —

Kuno.

Sędziowie... oto... — Ruch ręki, wskazujący przybyłą.

Głosy wśród mnichów.

Grabina! — Maruna! — —
Jak piękna — — —

Szeptają między sobą, — niektórzy poglądają w głąb kościoła, dając sobie jakieś znaki.

O. Hilgier.

To jest wasza żona, panie...
Dziś po raz drugi widzę ją dopiero
twarzą w twarz. Roku już półtrzecia temu,
gdyście ją z obcych stron do nas przywiedli.
a my ją tutaj jak panią witali...
Wtedy raz pierwszy... Odtąd wiele czasu
zbiegło, a przecież tak mi się wydają
znane jej rysy, jakgdybym je kędyś
widział dziś — wczora...

Niektórzy z mnichów poglądają znów w głąb, ku wielkiemu ołtarzowi, gdzie stoi posąg Maryi, szepcąc między sobą.

O. Hilgier ciągnie dalej:

Lecz nie o to idzie...

Zwraca się do Maruny.

Czy wiecie, pani, po co tu stajecie?

Maruna.

Czy wiem? — Od dziś dnia, od dzisiejszej nocy
tak się już wszystko w głowie mej zmieszało,
że się nie zdołam nawet dziwić temu,
co się tu ze mną dzieje, ani żądać
wytłumaczenia! choć nic nie pojmuję...

O. Damazy.

O wiarołomstwo jesteś oskarżona,
o zdradę męża!

Maruna.

Co?!

O. Damazy.

żeś wychodziła
w nocy z swych komnat, ażeby mieć schadzki
z kochankiem, wiary powinnej niepomna!

Maruna.

Kto się ośmielił rzucić taką potwarz
na mnie, księżniczkę i zamku grabinę?

Rozgląda się — spostrzega męża.

I ty tu, panie? — i słuchasz spokojnie,

jak mnie lżą tutaj, miast skarać potwarcę,
który mnie hańbiąc, i ciebie obraża?
Gdzie oskarżyciel?

Kuno.

Ja cię sam oskarżam?

Maruna.

Co? ty? — ty śmiałeś!

Kuno.

Nie takim ci tonem
przystoi mówić dziś do mnie!

Maruna.

Szalony!
Czy ci już starość rozum pomieszała?
Nie! ty igraszkę straszną stroisz ze mną.
Panie, daj pokój, bom ja się gotowa
pogniewać wreszcie, a później mi będzie
trudno przebaczyć!

Kuno.

To nie są igraszki!
O wiarołomstwo oskarżam cię, żono!
o cudzołóstwo!

Maruna po chwili milczenia.

A więc to jest prawda?
Ty mnie oskarżasz? na jakiej podstawie
śmiesz mnie lżyć, panie?

Kuno.

Jeśliś jest niewinna...

Maruna.

Jeślim niewinna! To jest już zniewaga,
że pytasz o to, gdym ja jest niewinna!
Jeśli się pozbyć mnie chcesz w taki sposób,
wiedząc, że nikt się nie ujmie już za mną,
bo wszyscy moi zdawna leżą w grobach,
to powiedz prosto! — odejdę od ciebie!
lecz mnie nie kalaj takiemi zarzuty,
bom ja żałować gotowa, żem na nie
nie zasłużyła, gdy je słyszeć muszę!

Kuno.

To próżne słowa...

Maruna.

Więc ty daj dowody!
Gdzie świadek, który mi powie, żem kiedy
wyszła w noc z łoża...?

Kuno.

Ja sam pierwszy świadczę,
świadczy ta rana na twojem ramieniu
od strzały mojej! — Czyś nie wychodziła
wczoraj — w noc pierwszą...

Maruna *ze zdumieniem:*

Czym nie wychodziła?
wczoraj?... Ta rana?... Nie wiem... Co to znaczy,

wy mi powiedzcie! Ległam spać z wieczora,
a rankiem budzę się zraniona, chora
i ze wspomnieniem mętnem a bolesnem
jakiejś straszliwej rzeczy... Tyś mnie zranił,
panie? dlaczego? Mówże!

Rycerz występuje:

Mnie pozwólcie
rzec tułaj słowo, dostojni sędziowie!
Jam wczora wieczór, wstawszy od biesiady,
stanął pod oknem tej czcigodnej pani
z lutnią, by wedle tego obyczaju,
który szanuje zakon nasz rycerski,
pieśnią jej piękność uczcić. Wtedy ona,
snadź lutni mojej dźwiękiem obudzona
wyszła ku oknu. — Wiecie, co się stało
dalej... Jam widział ją, promienną, białą,
widział, jak padła! — A! święci anieli
snadź tę niewinną w swej opiece mieli
i skrzydła swoje podesłali pod nią,
iż spadłszy — żyje! — Jeśli to jest zbrodnią,
tom ja tu winien! — ja! lecz nigdy ona!
Spojrzyjcie jeno na tę twarz, tak jasną!
Czyż to możliwe, by choć pozór cienia
mógł paść na włosy te takie złociste
i tak słoneczne!

O. Damazy.

W pięknem ciele często
mieści się dusza przewrotna i szpetna!
Wy wiedzcie o tem?

O. Hilgier.

Racz powiedzieć, pani,
czy tak się rzeczy miały, jako prawi
ten zacny rycerz?

Maruna.

Nie wiem, nie rozumiem...
Jam pieśni zgoła żadnej nie słyszała
anim ku oknu też nie wychodziła.

Rycerz.

Pani! wspomnijcie! wszakże to jest pewne!
Wspomnijcie jeno! Przestrach i zemdlenie
snadź wam pamięci władzę odebrały!

Maruna.

Nie, nie pamiętam, nie rozumiem zgoła!
Czego wy chcecie odemnie, wy!

Kuno.

Prawdy!
i mieć ją będziem! Darmo się wypierasz.
Nawet złą drogę obrałaś, małżonko!
Oczywistościom przeczysz lub udajesz,
i nie wiesz o tem, coś sama robiła. Wo
miasto skorzystać z słów tego rycerza,
i w nich wymówki poszukać dla siebie.

Maruna.

Mnie nie potrzeba wymówek, bom czysta!
W oczy ci patrzę i nie spuszczam powiek

a tyś pochylił głowę! Myślisz pewno,
jakim wymysłem poprzeć swoją skargę,
bo ty oskarżasz! — ty, któremum wiarę
chowała, może wbrew własnemu sercu,
wbrew krwi swej własnej, młodej i gorącej!
Ty mnie oskarżasz! — Wziąłeś mnie za żonę
— biedną, targaną niespokojnem sercem,
i jam ci wdzięczna była za to, panie,
bo mi się zdało, że ja w tobie znajdę
ochronę przeciw życiu, przeciw sobie! —
Nie! nie kochałam cię, — otwarcie mówię,
ale przez wdzięczność, żeś ty mnie ocalił,
pragnęłam stać się dobrą żoną tobie;
na grób mej matki przysięgłam to sobie! —
I byłam wierna, chociaż tyś był zdala,
chociaż krew moja młoda wrzała we mnie
i sny miesięcznych nocy duszę rwały...
Nikt mojej twarzy nie zobaczył nawet,
a ty dziś mówisz, żem ja wiarołomna! —
Czy ci nie straszno, że tem jednem słowem,
że tą obelgą, którą w twarz mi rzucasz,
możesz to we mnie zabić, com ja wolą
trzymała dotąd? Tyś mnie poniewierał
i przed obcymi rumienić się kazał,
że dziś, gdy zechcę, pokalać się sama.
nic już nie stracę, boś ty wprzód mnie zelżył!

Kuno *z szyderstwem:*

Kiedy tak mówisz, wnet bym sam uwierzył,
żeś jest niewinna, żeś jest nieskalana! —
A przecież oprócz moich własnych oczu,

oprócz tej rany na twojem ramieniu,
mam też i innych świadków, co potwierdzą,
żeś nie tej jednej nocy wychodziła,
aby z kochankiem swoim się zabawiać!

Zwraca się do straży.

Przywiedźcie tutaj owego człowieka
z więzienia, wiecie! — owego włóczęgę,
któregom pojmał!

Pachołek *wychodzi spełnić rozkaz.*

Maruna.

Ha, ha, ha! włóczęgę!
godnych masz świadków! Może jeszcze zechcesz
pytać mej służby? dziewek mych? pachołków?
straży przy bramie? dziadów pod kościołem?
Czysta ja wyjdę z tych twoich obieży,
— ale ty będziesz tego dnia żałował,
bo wiedz: — od dziś dnia między nami leży
owa godzina, kiedyś mnie zawstydził
i zelżył! — Odtąd — pamiętaj, żeś stargał
ty sam te więzy, które mnie łączyły
z tobą! Na krew tę na mojem ramieniu,
które, jak słyszę, rozdarła twa strzała
we śnie snadź, — otóż na tą krew przysięgam,
żem ja od dziś dnia nie jest twoja żona! —
Dałeś mi wolność, — dziękuję ci, panie,
za to, choć tyś mi dał ją przez głupotę!
We śnie jam dotąd jeno szczęście znała,
we śnie... — *Urywa.*
A! klątwa...

O. Hilgier.

Zamilkliście, pani,
i lepiej, bowiem bluźnicie w tej chwili
przeciwko świętym swoim powinnościom,
które Bóg na was włożył, jako żonę. —

Maruna.

Możem ja winna...

O. Damazy.

Więc się przyznajecie?

Maruna.

Nie wiem nic... Jeśli winą jest pragnienie,
jeśli sen winą może być nazwany...
Nie, ja nic nie wiem. Świadków swoich macie,
sądźcie mnie. Ja już nie uniknę losu.
Ach! czemuż sen to tylko był! sen tylko,
za który płacić muszę swojem życiem!...

O. Hilgier.

Dziwne to słowa, które powiadacie...

Wprowadzają Walę.

Pisarz.

Oto jest świadek zawezwany.

Maruna spojrzawszy:

Wala!

Kuno.

A! znasz go pani! Pono nawet lepiej,
niż mnie... Tak mówił... No! powtórz jej w oczy
to, coś rzekł wczora...

Maruna.

To twój świadek, panie?
z jego gadania owo oskarżenie?
Ha, ha! — więc takie narzędzia wybiera
los, aby klątwy dopełnić nademną!
Jam tego człeka wczoraj mojej służbie
za drzwi wyrzucić kazała, jak zwierzę,
które mi przyszło brudzić dom, a dzisiaj
ty, panie, cześć mą jemu w ręce dajesz! —
— No mów, mów, Wala! Kłam, gdyś raz już zaczął!
tu ci uwierzą! — Tyś tylko narzędziem
losu! — bo gdyby nie to, cóżbyś zdołał
zrobić mnie, pani, ty marny włóczęga
nie wart zaiste ni jednego włosa
z tych szczerozłotych promieni, co świecą
wokół mej głowy... Oskarżaj! lżyj śmiało! —

Wala milczy.

O. Damazy.

Czy trwasz i dzisiaj przy tem oskarżeniu,
które przed panem wygłosiłeś wczoraj
przeciwko pani?

Wala milczy.

Kuno.

Czemu nic nie mówisz?

Wczoraj szczekałeś, jak pies, — czemuż dzisiaj
pysk ci się zawarł? — Ja ci go otworzę
żelaznym drągiem! —

Wala milczy.

O. Damazy.

Jeśli nie odpowiesz,
sąd cię na męki pośle, aby prawdę
wydobyć z ciebie! — Tu milczeć nie wolno! —

Wala milczy.

Pisarz.

Przy śledztwie także ust nie chciał otworzyć...

Kuno.

Czyś ją znał dawniej?

Wala milczy.

Maruna.

Nim łgać zaczniesz, powiedz
w tej chwili prawdę: znałeś mnie, kochałeś,
i pocałunkiś moje kradł, gdym była
małą dziewczyną... Pochwalże się, Wala,
żeś ty książęce usta me całował! —
Ja nie zaprzeczę, jam wstyd już straciła,
mój mąż mi zabrał wstyd, — jestem bezwstydna!

Kuno.

Pięknych się rzeczy dowiaduję dzisiaj!
Zaiste, pani, że jesteś bezwstydna!

Maruna.

Tak, panie, dotąd jam cię oszczędzała,
kryjąc przed tobą wszystko z mego życia,
co mogło pozór cienia rzucać na mnie,
w chęci, byś widział mnie zawsze tak czystą,
jak jestem w duszy! Ale od tej chwili
nie mam litości! — Męcz się, dręcz i żałuj,
żeś nie ty pierwszy usta me całował
i sądź, żem winna, kiedy chcesz koniecznie,
bym winna była...

O. Damazy.

Raczcie milczeć, pani, —
zbyt wiele tutaj próżnych słów słyszymy...
Zwraca się do Wali:
Czemu świadectwa odmawiasz sądowi?
Czy wiesz co o tem, jakoby ta pani
w noc wychodziła na schadzki z kochankiem?

Wala.

Zełgałem wczoraj.

O. Damazy.

Możesz tedy przysiądz,
że jest niewinna? na ten krzyż? na Chrysta
straszliwą Mękę?

Wala po chwili wahania:

Dajcie krzyż. Przysięgnę!
Podają Wali krzyż.

O. Hilgier.

Pamiętaj! w duszę twoją Pan Bóg patrzy!

Wala kładzie rękę na krzyżu.

Na krzyż, na mękę Chrystusa straszliwą, —
przysięgam, aby wesprzeć swoją słabość,
że nie otworzę ust i nic nie wyznam,
choćbym miał umrzeć!

O. Damazy.

To grzech tak przysięgać!

Kuno zrywa się.

On wie, że winna! on zna jej kochanka!
— Ja męczarniami zmuszę cię do głosu,
ty psie parszywy!

Wala.

Wiedźcie na męczarnie,
jestem już gotów!

Kuno daje znak, — jeden z pisarzy powstaje, pachołkowie biorą Walę pod ręce, aby go wyprowadzić.

Maruna z mimowolnym wykrzykiem:

Wala! —

Wala ogląda się, — przystaje.

Maruna robi w pierwszej chwili ruch, jakby chciała podejść ku niemu, — spotkawszy się jednak z jego wzrokiem, zatrzymuje się i cofa. — Chwila milczenia.

Wala opuszcza powoli głowę.

Maruna, której rysy przybierają napowrót wyraz niewzruszonej, niemal szyderczej dumy:

A! rozumiem!
myślisz, że milcząc naprawisz tę krzywdę
i mnie poruszysz, idąc na tortury,
a nie chcesz, nie śmiesz, boisz się przysięgać,
żem ja niewinna, sądząc mnie na własny
sposób! — Daj pokój! oszczędź sobie męki!
Tyś mnie pokrzywdził, a ja jestem mściwa!
i choć wiem dobrze, iż dziś sama spłacę
dług mojej doli, rada będę tylko
z kaźni twej! — Nadto przytem jestem dumna,
bym się zgodziła zawdzięczać cokolwiek
tobie! Tyś niczem dla mnie! Choćbyś skonał,
jednej ci żywszej myśli nie poświęcę!

Wala wstrząsa się ze zgrozą.

Wiedźcie mnie, wiedźcie szybko na tortury!

Maruna.

Po cóż masz cierpieć? to tak łatwo skłamać!
Mówże! wszak w oczy wczoraś mi zarzucił,
że mam kochanka! Nazwij jego imię,
a jeśli trudno wymyślić ci, tedy
opisz go tylko, powiedz, jak wygląda!
Tylu jest ludzi podobnych do siebie,
a tyś go widzieć mógł tylko pobieżnie!...

Wala.

Jagna!...

Maruna.

Ja księżna! — chociaż tu zhańbiona
i od twojego słowa dziś zawisła! —

Kuno.

Nie traćmy czasu. — Do Wali:
Uczynisz zeznanie?

Wala potrząsa głową przecząco.

Kuno.

Wieść go na męki! —

Straż wyprowadza Walę. Towarzyszy im jeden z pisarzy.

Wala wychodząc — do Maruny:

Niech ci Bóg przebaczy!

Kuno.

Wnet zobaczymy, czy nie wyda głosu!
Tymczasem niech tu przyjdzie stara Gerta...

Pisarz.

Jest uwięziona także! Niech ją wwiodą! —

Jeden ze strażników wychodzi.

Maruna wyczerpana słania się i mdleje.

Ruch, małe zamieszanie.

Głosy.

Co to? Zasłabła...

Medyk, który podbiegł do niej:

Zbyt ją to znużyło...
Rana znów krwawić zaczyna... Hej! wody!
Dajcie tu krzesło, tak; niechaj usiędzie...

Rycerz.

To okrucieństwo, dręczyć białogłowę,
Dajcie jej pokój! widzicie, że ledwo
żywa jest! Jedna słabość jej obroną!

O. Hilgier.

Możeby przerwać na chwilę te sądy?

Kuno.

Niech się to skończy... póki starczą siły...

Wprowadzają Gertę.

Gerta spostrzega zemdloną Marunę.

Gołąbko moja!

Maruna otwiera oczy.

A! to wy jesteście, babo...

Gerta.

Ja, ja, gołąbko moja najmilejsza!

Maruna.

Widzicie, klątwa się spełnia...

Gerta.

Hej! spełnia się, spełnia stara klątwa na tobie, za winę matki, za matuleńki twojej, jasnej pani winę!
A jam mówiła: strzeż się ty księżyca,
strzeż się snu, szczęścia jak moru się strzeż!...
Na złą cię dolę piersi me karmiły!
na złą cię dolę kołysały ręce...
Zły dzień był wczoraj: nie chciała się woda
gotować, zaszło mgłą śkliste zwierciadło...

O. Damazy.

Babo, tu nie pòra głupstwa pleść. Jesteś wezwana po to, abyś złożyła świadectwo! Mów, co wiesz!

Gerta.

Co ja wiem? dużo wiem, jaśni panowie,
wiem, jak los ludzki przędzie się, jak dola
chyłkiem się skrada przez lasy i pola...
wiem, jak się słowo, które człek wypowie
niebacznie, pisze na gwiazdach, u Boga —
a wraca potem na ziemię... Wiem dużo!
umiem z ptakami rozmawiać i z burzą,
wiem, gdy mór idzie, wojna lub pożoga...
Czy chcecie może, abym wam wróżyła?

O. Hilgier.

Twa pani stoi tutaj przed sędziami
o wiarołomstwo oskarżona. Powiedz,
czy wiesz co o tem?

Gerta.

Juści wiem... A! pewno!
wiem, że przeklęli ją, nim na świat przyszła!
że wczora dzień był zły, znaczony, kiedy
nieszczęście z jamy wychodzi i szuka
swoich... Gołąbka już nie ujdzie doli! —
lecz was choroba roztoczy, trąd zeżre,
czarny mór gonić was będzie i zgroza,
która po nocy kociem okiem świeci,
żeście biedaczkę moją pokrzywdzili,
jaśni panowie, ojcowie kościelni
w złotych ornatach i ty stary grabio,
któremu serce tłucze się pod zbroją,
dzisiaj już strachem jutra opętane!

Kuno.

Łżesz, babo! —

Gerta.

Panie! pocóż bym ja łgała,
gdy mogę mówić jeno to, co widzę?
A widzę dzień twój ostatni! — samotnie
spędzisz ostatni dzień swój, jasny panie...!

Kuno.

Babo! jeśli nie przestaniesz pleść i nie będziesz odpowiadać na to, o co cię pytają, poślę cię na męki! ogniem przypiekać każę!

Gerta.

Nie strasz mnie, panie! mnie ogień nie dziwny!

W ręku ci żaru przyniosę, jak wiśni,
a żar tych starych palców nie pokąsa.
Hej! gorszy ogień płonie w twojej duszy
i żre! — na lica już ci wyszły znaki!
Hej! młodą żonkę wziąłeś sobie, panie!
aleś nie umiał serca w niej utulić,
aleś nie umiał uśpić jasnych oczu,
ażeby w księżyc blady nie patrzały!...
Tyś jeden winien! tyś winien wszystkiemu!...

O. Damazy.

A więc przyznajesz, że tam były rzeczy...

Gerta.

Czy ja przyznaję? Nie! — ja jeno mówię:
Dajcie wy mnie ją! dajcie mą dziecinę!
może ja jeszcze ukryć ją potrafię
przed onym losem... Dajcie ją, panowie,
ja będę Boga prosiła o zdrowie
dla was! Ja wezmę ją, poniosę w pola,
w lasy najgłębsze, gdzie się zbłąka dola
goniąca za nią!

Maruna.

O, babo! o, babo!

Gerta.

Patrzcież się na nią, taką białą, słabą, —
czegóż wy chcecie od niej! Mnie ją dajcie!...
Po chwili milczenia.
Niechcecie prośby posłuchać? Więc ja was
przeklnę!

O. Damazy.

Dość tego!

Gerta.

Nieszczęście niech goni
każdego, który przyłoży swej dłoni
do jej udręki! Przez Boga na niebie
i przez szatana w piekle — naprzód ciebie
przeklinam, panie! — a potem was, sędzie!
niech to ostatni dzień spokoju będzie
dla was! niech odtąd trwoga was oślepia
i lęk wam w serca kły swe straszne wszczepia...

Kuno.

Zamknąć jej gębę!

Pachołkowie przyskakują do Gerty.

Gerta.

Nadarmo! nadarmo!
ja będę wołać! przeklęci!

O. Damazy.

Do lochu!
to czarownica! —

Maruna.

Puście ją! — O, babo!...

Gerta wleczona przez pachołków:

Gołąbko moja!...

Pisarz wchodzi.

Człek na mękach skonał.

Chwila głuchego milczenia.

Gerta.

Na was niech spadnie jego krew! wy zbóje! —

Milknie, uderzona w zęby przez pachołka, który z pomocą drugiego wywleka ją wreszcie z kościoła.

Maruna wstrząśnięta:

O, Boże, Boże... Niechże się już stanie...
i ze mną... Niech się ta klątwa dopełni...

Schyla głowę, twarz kryje w dłoniach.

Kuno do pisarza:

Czy nic nie wyznał?

Pisarz.

Zęby ściął, — nie jęknął
nawet, choć kości trzeszczały na kole.
Skonał bez głosu...

O. Hilgier po chwili milczenia:

Gorzkie to zdarzenie!
Niech duszy jego Bóg będzie łaskawy,
jeżeli umarł niewinnie! —

O. Damazy.

Kto prawdy
nie chce wyjawić, winny jest i słusznie
ponosi karę!

O. Hilgier.

Zawszeć smutku pełne
jest moje serce... Nie pojmuję zgoła
tej całej sprawy... Dlaczego człek owy
wzbraniał się świadczyć? Z jego zachowania
nie mogę wnosić, iżby za niewinną
miał tę podsądną, a jednakże wolał
umrzeć, niż zarzut powtórzyć przed nami...
Rzecz niepojęta. Dziwne także słowa
tej starej sługi... Nie wiem, jak mam sądzić,
nie wiem, jak wydać wyrok!

Szmer między mnichami.

Jeden z ojców.

Niema świadectw...

Drugi.

Dowodów niema...

Inny.

Ja nie widzę winy...

Inny.

Lecz są poszlaki...

Inny.

Rzecz dziwnie zawiła...

O. Damazy.

Strzeżcie się, bracia, przedwczesnego sądu! —
niechaj was litość płocha nie unosi

ani przestrasza śmierć, o której właśnie
cośmy słyszeli! — Jednym naszym celem
jest sprawiedliwość! — Raczej świat niech ginie,
by ona stała! — Trzeba sprawę zbadać,
trzeba raz jeszcze wszystko po kolei
przejść i zawezwać nowych świadków, póki
nie będzie jasne...

Zwraca się do Maruny.

Odpowiedz nam, pani...

Maruna.

Dajcie mi pokój! nie męczcie mnie dłużej!
Róbcie, co chcecie! — ja już siły nie mam...

O. Damazy.

A jednak musisz...

Maruna.

Nie muszę! nie muszę!
Nie będę mówić! i tak już zbyt długo
jestem powolna tej strasznej zabawie,
jaką wy sobie ze mną urządzacie, —
krwią mnie i błotem obrzucając całą!
Kto wy jesteście? jakie macie prawo,
aby mnie sądzić? Skazać mnie możecie,
ale nie sądzić! — O! czemuż tu niema
nikogo, ktoby chciał mnie wyratować
od was!

Rycerz *występuje na środek.*

Ja jestem! — Czcigodni ojcowie
i ty szlachetny grabio, możny panie,

mój gospodarzu! — pozwólcie, że oto
powiem wam słowo! — Gościem jestem w zamku
z dalekich krajów przybyłem tu, wiedzion
snadź losem jakimś... Piękności szukałem,
świętości, aby swojem życiem całem
jej służyć... Otom ją znalazł — w kobiecie,
tej najcudniejszej na szerokim świecie;
jej też swe służby ofiarować pragnę...
Wierzę, iż Pan Bóg piękność daje cnocie,
i przeto wierzę w niewinność tej pani!
Dziwne pozory przeciw niej się sprzęgły,
a nikt jej stanąć nie chce ku pomocy,
więc, choć nie wątpię, iż wy sami, sędzie,
zwolnilibyście ją od wszelkiej winy,
rzecz rozpatrzywszy bliżej, — chcąc oszczędzić
tej jasnej dłuższej męki poniżenia,
w której się oto przed wami rumieni,
proszę was, byście dali przyzwolenie,
abym rycerski spełnił obowiązek
i skończył sprawę! — Oto rękawica
zdjęta z mej dłoni, której nigdy jeszcze
żaden niegodny czyn nie skalał w życiu!
Sługa piękności i słuszności rycerz,
na tę kamienną posadzkę kościoła
rzucam ją śmiało i mówię: Niewinna
jest-ci ta pani! jest taka niewinna,
jako ten obraz Maryi w ołtarzu,
na który oczy wasze się zwróciły,
kiedy tu weszła! Nie na nią krew spada
przelana! obca jej zmaza i zdrada,
a kto inaczej utrzymuje, tedy

niechaj podniesie ową rękawicę
i walczy ze mną! — Na sąd boży wzywam
oskarżyciela! Niechaj Bóg rozstrzyga,
niech Bóg wyroczy! —

Milczenie. Rycerz zwraca się do grabi, który siedzi niemy ze schyloną głową.

Czy słyszycie, panie?
Wy oskarżacie o grzech swą małżonkę...
Wybierzcież człeka z pośród tych rycerzy,
jeśli nie chcecie stawić mi się sami
i tak otwarcie zelżyć ją przed Bogiem,
jako przed ludźmi tuście ją zelżyli!
Wybierzcie człeka! niechaj walczy ze mną
o cześć, o cnotę, niewinność tej pani!

Zwraca się do zgromadzonych rycerzy.

Na sądy boże wzywam was, rycerze.
Kto rękawicę podniesie rzuconą?

Milczenie.

Kuno powstaje i powtarza patrząc na rycerstwo swoje:

Kto rękawicę podniesie rzuconą?

Klucznik który pojawił się był podczas pierwszych słów rycerza we drzwiach kościelnych, odzywa się naraz wśród ogólnej ciszy:

Ja!

Wszystkie głowy zwracają się ku niemu, on zaś wchodzi na środek przedsionka, niosąc na ręku ciało zabitego syna. Stanąwszy, składa je powoli i ostrożnie, poczem zwraca się do sędziów:

Darujcie ojcowie czcigodni, a sędziowie dzisiaj, daruj mi i ty, panie jasny, któremu życie całe wiernie służyłem, — darujcie mi, że tak nierychło przychodzę...
Aleć ja nie sam, — przywiodłem synaczka,
dziecinę moją, którą trzeba było
ubrać i umyć, aby się stawiła
godnie przed sądem, — umyć... z krwi czerwonej...
Jeno go zbudzić nie mogłem, by przyszedł
sam, więc na rękach wam go tu przynoszę...

O. Hilgier.

Trupa przynosisz? i po co! człowiecze!

Klucznik.

By pomsty wołał! żeby o swej krzywdzie
świadczył przed wami razem ze mną, ojcem,
niememi usty i raną szeroką
w piersi, i życia się żalił młodego!

Maruna.

Heno! — *Chce się zbliżyć ku ciału.*

Klucznik.

Nie tykaj, pani, tego trupa!
on mój! Powrócił do starego ojca
ze służby gorzkiej, z twojej służby, pani!
od której życiem wykupić się musiał!
Dzisiaj już wolny...

Maruna.

Kto zabił?

Klucznik.

Ty! — pani!
Twoje go oczy zabiły przeklęte,
co nawet dzieciom nie dają pokoju!

Maruna.

Co? moje oczy?

Klucznik.

I twój grzech!

Rycerz.

Ten człowiek
czysto oszalał! — Wszak wiecie...

Klucznik nie zważając na słowa Rycerza, ciągnie dalej, zwrócony do Maruny:

Patrz! krwawa
chustka, na którą z serca krew pociekła! —
to twoja chustka! On ją skrył na piersi.
a pod nią serce chłopięce dla ciebie
biło... Weź pani, z powrotem przeklęty
dar swój! — Rzuca chustkę na nią.

Maruna cofa się.

Krew dziecka wy na mnie miotacie...
za co?! — O, Boże! mówcie, co to znaczy?

Klucznik.

Aż nazbyt sama dobrze wiesz, co znaczy!
On wiedział o twym występku, on ciebie
kochał i bronić chciał, chłopię szalone!
A kto wie nawet, czy nie z twojej rady,
z twojej namowy stanął tam — z sztyletem!
Możeś ty chciała tą niewinną dłonią
uwolnić siebie od męża i pana,
abyś bezkarnie mogła gzić się z gachem!

Maruna.

Milcz, sługo! pani ja tu jestem twoja,
której nie wolno ci słowem obrażać!

Klucznik.

Nie! Bóg na niebie pan mój! — a to drugi,
któremu służę wiernie aż do śmierci!
Ja ciebie nie znam, przybłędo w tym zamku,
wszeteczna żono, dzieci trucicielko!

Schyla się nad trupem.

O, mój synaczku! słusznie ty umarłeś,
słusznieś zapłacił życiem za tą winę,
żeś na swojego pana podniósł rękę, —
ale twój stary ojciec pomści ciebie
na tej, co grzechu twego jest sprawczynią!

Podnosi się i mówi zwrócony do Rycerza:

Rycerzu, z krajów dalekich przybyty,
wchodząc w ten kościół, słyszałem, żeś wyzwał
na sądy boże za cześć onej... dziewki

oskarżyciela. Otom ja przed tobą!
oto podnoszę twoją rękawicę:
ja ją oskarżam o zdradę wierności,
o uwiedzenie chłopięcia do zbrodni
i o nasłanie zbójcy na małżonka!
— ja, mściciel krwi tej z jej winy przelanej!
Czyś gotów ze mną stoczyć bój, rycerzu?
Po chwili:
Ty patrzysz na mnie, myślisz, żem ja sługa,
niegodny może stanąć ci na placu...
To jest sąd boży! a Bóg wszystkich równa!
A zresztą szlachcic ja jestem z pradziadów,
choć zubożały i tu z pańskiej łaski
wiodący żywot. — Wahasz się, rycerzu?

Rycerz.

Niech mnie Bóg broni, abym się zawahał,
abym dopuścił jakiej wątpliwości,
choć długi szereg zbrodni wyliczyłeś...
Aleś ty stary i sił ci zabraknie
podnieść miecz...

Klucznik.

Siły moje Pan Bóg skrzepi,
wy się nie troszczcie o to, mając w pieczy
raczej los własny, iż rękę wznosicie
w obronie sprawy nieczystej!

Rycerz.

Dość tego!
Gdy chcesz koniecznie zginąć, jam gotowy!

By zaś zbyt łatwem zwycięstwem nie podać
w wątpliwość jaką bożego wyroku,
bez tej przyłbicy stanę, bez pancerza,
a ty się zakuj w zbroicę żelazną, —
i tak mój miecz ją przetnie!

Zwraca się do Maruny:

Jasna pani,
dajcie mi wstążkę... nie! wstęgi nie macie,
więc krajkę jaką z waszej białej szaty,
chustę, cokolwiek, — swą dolę mi dajcie
z czemś, co jest wasze...

Maruna.

Dolę, moją dolę?

Rycerz.

Tak...

Maruna rozgląda się, coby mu podać, naraz spostrzega chustkę, którą rzucił był na nią Klucznik. Podejmuje ją i wyciąga ku Rycerzowi:

A więc macie! to jest moja dola!

Rycerz cofa się mimowolnie.

Wy mnie znaczycie dziecka krwią?...

Maruna.

Niewinną!
czy się boicie wziąć tę chustkę, panie?

Rycerz po chwili:

Biorę ją. Pan Bóg patrzy w wasze serce!

A jeśli na śmierć wy mnie nią znaczycie:
wolej mi umrzeć, niż ostać tu żywym
z myślą, że z niewiast wszystkich najpiękniejsza,
nie jest zarazem najczystszą wśród niewiast!

O. Hilgier.

Nim przyzwolenie swoje myśmy dali,
jużeście tutaj boży sąd złożyli.
Lecz niechaj będzie! Pan Bóg niech rozstrzyga
tę dziwną sprawę i zawiłą iście!

O. Damazy.

Niech Bóg rozstrzyga!

Kuno.

Niechaj Bóg rozstrzyga!

Mnisi.

Amen!

O. Hilgier.

Czy jednak z czystem tutaj sercem
stajecie? prawdy chcąc jedynie? zgoła
bez innych myśli?

Rycerz.

Ja Bogiem się świadczę,
iż jeno wiara w cnotliwość tej pani
rękę mą zbroi!

Maruna wznosi oczy.

Skłamałeś, rycerzu.

Rycerz.

Wy — to — mówicie?...

O. Hilgier do klucznika:

A ty stary człecze?
czy nie zaślepia ciebie żal za synem?
czy zemsta serca twego nie uwodzi?
Może niewinna ona jest istotnie?

Klucznik.

Niewinna?! — wkrótce Pan Bóg to pokaże!
Lecz jeśli chcecie, czcigodni ojcowie,
zanim bój krwawy rozstrzygnie tę sprawę,
wiedzieć, to patrzcie jeno na ten posąg!
Ten rycerz mówił, że ona tak czysta,
jako ten obraz we wielkim ołtarzu, —
a ja wam mówię, że ten obraz właśnie
świadczy, że winna jest! Pojrzyjcie jeno!

Ruch między obecnymi; wszyscy zwracają twarze w głąb nawy kościelnej.

Głosy.

Istotnie do niej jest podobny!
Co to ma znaczyć?

O. Damazy.

Tak jest! to ona... ten posąg Maryi!

to są jej rysy! — Wezwijcie rzeźbiarza,
który ten obraz rzezał dla kościoła!

O Hilgier poruszony:

Szukać go wszędzie! — niechaj zaraz przyjdzie!
Jeden z braci wychodzi.

Maruna mówi do siebie, jak błędna, zbierając snadź myśli czy wspomnienia:

Rzeźbiarza... obraz... w noc... jam... wychodziła?
O Boże wielki!

Głosy.

Patrzcie, jak pobladła!
Patrzcie na twarz jej!

O. Hilgier do siebie:

Arno! Tak, rozumiem,
teraz rozumiem... Stare moje oczy...
nie byłem pewny...

Kuno.

Więc to jej kochanek...?

O. Hilgier.

Zamilczcie, panie! To jest rzecz tak dziwna
i niepojęta... Zda się, wiem coś o tem,
alem nie myślał...
Zwraca się do odźwiernego:

Gdzie on noc przepędził?
czy był w kościele!

Odźwierny.

Leżał tutaj krzyżem,
tu przed ołtarzem, — do samego świtu,
przed tym rzeźbionym obrazem Maryi...
ale ja nie wiem, czy on się tu modlił,
bo gdym go rano podnosił z posadzki,
to pojrzał na mnie krwawemi oczyma,
w których się jakieś złe świeciły błyski,
jakby się męczył całą noc...

O. Hilgier.

Zapewne
musiał się męczyć... srożej, niż myślicie!

Pisarz.

Oto go wiodą...

Maruna spostrzegłszy w głębi zbliżającego się Arnę:

O, Boże!

Arno wchodzi — ze spuszczoną głową, jakby senny, wprowadzony przez jednego z braci zakonnych. Pobladł był od wczoraj, — policzki mu zapadły, w oczach ma blask gorączkowy. Wszedłszy, staje tyłem do Maruny, tak że jej nie widzi.

O. Hilgier.

Mój synu,
masz nam świadectwo złożyć w ważnej sprawie.
Pytam cię śmiało, bo wiem, żeś niewinny,
a co najwyżej uwiedziony tylko.
Czy znasz grabinę, zamku tego panią?

Arno *obojętnie:*

Nie znam.

O. Hilgier.

Zwróć oczy, stoi tu za tobą,
spojrzyj na lica jej... Czy znasz?

Arno *odwraca się i wznosi oczy na Marunę, i w tejże chwili rzuca się w tył z przestrachem.*

Ijola!

Maruna.

To ty? mój...! Żyjesz! — to nie sen? to prawda?
Żywy tu stoisz przedemną? Nie marzę?
O Boże! dzięki!... O, jakież to szczęście,
że to jest prawda!

Arno *prawie nieprzytomnie:*

Toś ty jest? ty jasna?
Czekałem! marłem, myśląc, że już nigdy...
Urywa i rozgląda się w koło.
Czy ja śnię — znowu?

O. Hilgier.

Nie śnisz już, niestety!
Nie śniłeś nigdy...

Maruna *zwraca się do sędziów:*

I na cóż czekacie?
Kocham go! róbcie teraz co zechcecie!

Jawą się stało senne szczęście moje,
dzięki wam za to! — Niech się spełni klątwa!
niech umrę teraz! — To jawa! to jawa!

Kuno.

Zamilcz, bezwstydna!

O. Damazy.

Więc się nie wypierasz,
pani, żeś z człekiem tym miewała schadzki?

Maruna.

Nie! nie! — Miewałam! Nie wiem, jak to było,
ale miewałam! Napewno! napewno!
Spytajcie jego! — i on wam poświadczy...
Za sen to miałam...

Rycerz.

Pani! jam przed chwilą
za twą niewinność na boży sąd wzywał!
W obłędzie mówisz, pani! Rzeknij słowo,
zbierz myśli! powiedz, że to jest nieprawda!

Maruna.

Jakże chcesz, panie, abym ja przeczyła
swojemu szczęściu?

Rycerz.

Więc znasz tego człeka?
więc-eś się jemu...?

Maruna.

Tak! duszą oddała!
w myślach i we śnie! Znam go! znam go! znam go!
Będę to sobie powtarzać, bym sama
nie śmiała wątpić, że jawą to szczęście!
Byłam u niego w izbie, — jeśli chcecie,
to wam opowiem, jak izba wygląda...
Dużo tam kwiatów i blasku księżyca...

Klucznik.

I cóż, rycerzu?

Rycerz.

Byłaś więc u niego?
w nocy?

Maruna.

Tak, byłam! w niejednę noc byłam!

Rycerz po chwili milczenia wyciąga z pochwy miecz, opiera końcem brzeszczotu o podłogę i naciskając rękojeść oburącz, łamie.

Miecz mój złamany!

Zwraca się do Maruny:

Bądźcie zdrowa, pani!
niech Bóg wam będzie miłosierny! Wiara
moja tak prysła, jak ten brzeszczot jasny,
któregom nigdy nie podniósł za życia
w nieczystej sprawie! I życie się moje
złamało! Tutaj, w tych kościelnych progach

zostawiam sen mój o czystej piękności,
której szukając, świat zjeździłem cały!
Wy najpiękniejsza jesteście na świecie!
Ból i tęsknota od dziś pójdą ze mną
w drogę, co wiedzie już tylko — do grobu!

Wychodzi pospiesznie z kościoła.
Wśród obecnych głuche milczenie.

Maruna do Arny:

Czemuż ty patrzysz z takiem przerażeniem
na mnie? Dlaczego ramion nie wyciągasz?
czemu nie witasz Ijoli? Patrz! jestem!
twoja! Cóż, że mnie wszyscy opuścili?
Śmieję się z tego, kiedy ciebie widzę...

Arno w osłupieniu:

Więc to widzenie moje? sen mój złoty?
ta pani! Boże! — ona do mej izby...?
w blasku księżyca...? I posąg Maryi...
Czy śnię, czym może oszalał? — Kto jesteś?
i jakim cudem u mnie się jawiłaś?!

Maruna.

O, Boże! — błędnie patrzą twoje oczy...
I cóż ci o to, kto ja jestem? twoja
jestem i żyję!

O. Damazy.

To jest zamku pani,
o wiarołomstwo oskarżona, jakoż

o nasyłanie zbójcy na małżonka
i uwiedzenie chłopięcia!

Maruna *z krzykiem:*

Ty nie wierz!

Zwraca się do sędziów.

Litości, sędzie! małżonku, litości!
wy mnie nie brudźcie wobec niego! Ja mu
tak święta byłam!

Arno.

O Jezu! Maryjo!
to święte, święte moje objawienie!
ten anioł jasny!

Klucznik.

Szatan, powiedz raczej!
Ojcowie, trzebaż wam jeszcze dowodów?
Gdy pan mnie wczoraj o te sprawy pytał,
nie chciałem mówić, głupim strachem zdjęty
i miłosierdziem... ale dziś — nad trupem
synka mojego, którego uwiodła
ta wszetecznica... Wiedziałem ja zdawna,
że się ta pani oknem wykradała
i tam po gzymsie muru, jakąś sztuką
djabelską ściany czepiając się gładkiej,
chucie swe niosła nocą do rzeźbiarza,
ażeby...

Głosy *wśród obecnych.*

Upiór! ten upiór! — Straż... Dziewki...

Bracia widzieli...! W noce księżycowe...!
To niepodobna! — A więc to ten upiór?

Klucznik.

Dobrze mówicie! Upiór to, co życie
wysysa z ludzi! Przez nią także umarł
ten człek na kole w straszliwych męczarniach,
nie chcąc jej winić! — Słyszałem rozmowę,
którą z nią wczora wiódł, choć rzekłem panu
inaczej... Słyszcie! on był jej kochankiem —
ten obcy pisarz wędrowny!

Arno.

Co? Wala!
O Boże! Boże! zbaw mnie od obłędu!
Więc to... to Jagna jego, ta wszeteczna?
Rozumiem... posąg... jego przerażenie!
I on — na mękach skonał — nie chcąc winić?...

Maruna.

Czy on ci mówił co o mnie? Ty nie wierz!
Zełgał! Nie byłam ja jego kochanką!

Arno z wybuchem:

Co on mi mówił? co mówił? — On przecie
umarł przez ciebie, tak jak ja umieram,
przez twoje kłamstwo, ty uwodzicielko! — —
Urywa nagle i rozgląda się w koło nieprzytomnie.
Ojcowie! mówcież, mówcie, co to znaczy...?
Jam posąg Marji rzezał, patrząc w lica
zjawy tak jasnej w promieniach księżyca,

a teraz słyszę, że przez nią w rozpaczy
zginął człek...! Księża! ten człek mi był bratem!
i on mi... wyznał... takie straszne rzeczy
o niej... Niech mówi kto, niechaj zaprzeczy,
niech zbudzi trupa, by przed całym światem
odwołał... Wszak z niej jam postać Maryi
uczynił... litość wy miejcie nademną!
Postać Maryi najczystszej...! tak ciemno...

Maruna z krzykiem:

Ja czysta jestem!

Arno wybucha szaleńczym śmiechem:

Ha, ha, ha! ty czysta!
Głupi ja! głupi! po trzykroć szalony!
Wierzyłem w twoją jasność! Z bólu marłem,
że się skończyły dni mego natchnienia...
Natchnienia! — Boże! — ha, ha, ha! — ja głupi

Maruna.

Śmiejesz się? Śmiech ten mnie zbudził. Sen minął,
bo mimo wszystko sen to był jedynie...
już dokonany... I los mój się spełnił...

Kuno.

Tak jest. — Milczenie.

Maruna zmienionym głosem:

Dlaczego tak wszyscy siedzicie
w milczeniu! Mówcie! — ja się ciszy boję,

bo w ciszy słychać, jak się serce moje
targa i pęka... Czegóż jeszcze chcecie?
Zdradzałam męża. Jeżeli nie czynem,
to w myślach, we śnie. Wszak to wszystko jedno,
o cóż wam idzie? Co dnia go zdradzałam
i winna jestem... lecz napowrót dumna!
To już minęło... Weźcie tego człeka,
niech nań nie patrzę... Wilgnie mi powieka...
nie dbam, czy klasztór czeka mnie, czy trumna,
byleby prędzej... prędzej, bom gotowa
płakać przed wami — ja, kasztelanowa,
księżniczka... Boże! czyż chcecie koniecznie
łzy moje widzieć?

Kuno.

Płacz już nie pomoże!

Powstaje i wśród ogólnego milczenia zwraca się do Arny.

Idź stąd, rzeźbiarzu! Złożyłeś świadectwo,
możesz więc odejść. Zbyt mały mi jesteś,
bym szukał zemsty... A także, jak widzę,
zbyt głupi, aby mścić się było warto.
Odejdź! —

Zwraca się do sędziów.

Ojcowie, dość my już słyszeli:
Winna!

O. Hilgier.

Tak, winna!

Chór mnichów.

Winna jest!

O. Hilgier.

W klasztorze
dokona życia, grzechów swych żałując!

Kuno.

Wyrok wydany — i zamykam sądy!

O. Damazy.

Wstrzymaj się, panie! Sprawa nieskończona!

O. Hilgier.

Cóż jeszcze więcej możemy tu mówić?
Czy wam nie dosyć jasna jest jej wina?

O. Damazy.

Tak, nie dość jasna. Wy o wiarołomstwo
ją oskarżacie i jak wiarołomną
chcecie ukarać! — Ja z mego urzędu
w bożem imieniu, w imieniu Kościoła
cięższą podnoszę przeciwko niej skargę!
To jest nieczysta sprawa i szatańska,
jeśli się zważy wszystko co słyszymy...

O. Hilgier.

Nie wiem...

O. Damazy.

Lecz ja wiem! Posłuchajcie jeno,
i zważcie w głębi serca każde słowo!

Przez jakie moce ta pani sprawiła,
że chłopię dla niej wzniosło zbrojną rękę
na pana swego? i przez jakie moce
zamknęła usta człekowi, co świadczyć
mógłby przeciwko niej, a wolał raczej
umrzeć, niż mówić? Czy to nie są czary?
i czy nie spada na nią krew tych ludzi? —
na nią, co wzrosła pod okiem tej baby,
która się tutaj czarodziejską sztuką
śmiała przechwalać?... Słyszeliśmy wszyscy,
że pod postacią dziwną się zjawiała
w izbie snycerza, który nie wie nawet,
jakim się cudem w jego dom wślizgała! —
Słyszymy także, że po gzymsie gładkim,
szła — i widziano ją nawet... Sędziowie!
ludzką tam sztuką przejść jest niepodobna! —

Głosy.

To prawda! — Człowiek spadłby tam niechybnie!

Medyk.

Dajcie mi mówić! — Oddawna już chciałem
wtrącić tu słowo... Baczcie, to choroba,
to wyjście z łoża w księżycu... Na wschodzie,
kędy uczyłem się sztuki lekarskiej
od pogan wprawdzie, ale wielce mądrych,
znana jest. Człowiek nią dotknięty błądzi
w świetle miesiąca i śmiało się wspina
na mury, wieże...

O. Damazy.

Może tam na wschodzie
znają chorobę taką, — tu jej niema!
tutaj inaczej rzecz tę nazywamy,
szatańskie sprawy znający chrześcianie!
Zresztą świadecwo człowieka, co czerpał
wiedzę u pogan niewiernych, nie może
tutaj zaważyć... Zważcie jeno, sędzie,
w jakiej postaci zachodziła ona
tam do snycerza! W drodze ją widziano,
jako upiora ogniem zionącego
— mamy świadectwo służby, braci, straży —
a jemu być się wydała aniołem!
i tak dalece jego myśl zaćmiła,
że świętokradzko rysy jej Maryi
dał na posągu! To sprawa szatana,
który wyszydzić pragnął świętą wiarę!...
i wszetecznicy głowę tu postawić
w ołtarzu, byśmy się przed nią modlili!

Arno.

Boże!

Głosy.

O, zgrozo! O, grzechu!

O. Damazy.

A kto wie,
jakie tam orgje święciła z tym człekiem,
zaćmiwszy rozum jego djablą sztuką,

którą zna dobrze, jak tego dowodzi,
iż z wysokości takiej spadłszy, zdrowa
stoi przed nami i żywa!

Kuno *z przerażeniem:*

Do czego
zmierzasz, mój ojcze?

O. Damazy.

Chcę zdeptać szatana!

O. Anioł *z nagłym wybuchem:*

Więc go zdeptajcie! bo stoi przed wami
w własnej postaci!

Głosy.

Co to? Ojciec Anioł...?

O. Anioł *wybiega naprzód, rzuca się przed sędziami na kolana i poczyna mówić, bijąc się w piersi:*

Winnym jest, winny! moja wielka wina!
w mocy szatańskiej jestem! Dzięki, Panie,
żeś mi rozwiązał język i pozwolił
mówić znów, zdjąwszy strach ten z mojej duszy,
który ją cisnął!...

O. Hilgier.

Bracie! co to znaczy?

O. Anioł.

Ja się oskarżam przed wami! ja nędzny,
niegodny sługa pański, grzesznik stary!

którego szatan naszedł i opętał!
O Boże! racz-że ze mnie zdjąć to brzemię!
od potępienia wybaw mnie wiecznego!
racz mi za karę poczytać te męki,
w których się co dnia moje serce wije,
gdy przed ołtarzem, widząc swą zakałę,
nie śmiem bożego ciała wziąć do ręku!

O. Hilgier.

Bracie! zapanuj nad sobą!

O. Damazy.

Mów jeno!
mów, co na sercu ci leży!

O. Anioł.

Słuchajcie!
spowiedź uczynię otwartą przed wami,
a wy mnie sądźcie! a wy mnie ukarzcie,
bo ja w szatana mocy pędzę życie!
Darmo biczuję moje grzeszne ciało,
darmo postami je łamię i głodem,
darmo na twardej ziemi leżę krzyżem
i na modlitwach spędzam dnie! Wy wiecie,
od roku jestem pozbawiony szczęścia
świętej ofiary! Przed rokiem to było,
gdy od ołtarza — przed najświętszą chwilą
przemiany chleba w Pańskie ciało żywe —
do ludu zwrócon, ujrzałem tę oto,
stojącą tutaj przed wami, ojcowie!
Zasłonę z twarzy odrzuciła wtedy

i oczy we mnie utkwiła palące...
O Boże! Boże! kajam się przed Tobą!
grzech mój największy! bo w tej jednej chwili
jam o ofierze zapomniał i stałem
wpatrzony w ono szatańskie zjawisko,
niezdolny wyrzec ludowi: Pan z wami!
A kiedym wreszcie zwrócił się i kielich
ujął w swe dłonie...! Ojcowie! wy wiecie,
żem od ołtarza uciekł, jak wyklęty,
nie dopełniwszy ofiary, bom na dnie
kielicha spostrzegł jej lica! — I odtąd,
ilekroć stanę przed ołtarza stołbą,
w oczach mi błyska to widmo szatańskie, —
a dziś — w posągu Maryi jam zoczył
jej twarz przeklętą i myślą skalałem
obraz Najświętszej, Przeczystej Dziewicy!

Głosy.

O zgrozo! zgrozo! — o grzechu straszliwy!

O. Anioł.

Grzesznym jest! grzeszny! słuchajcie spowiedzi,
bo to nie koniec jeszcze mej ohydzie!
Tak długo myśl ma, piekłem rozpalona,
krążyła koło lubieżnego widma,
aż przywołała je żywe w mą celę!
Ojcowie! w noce — wyznam to przed wami,
czegom wymówić dotąd nie miał siły, —
w noce zachodzi ten szatan w me łożc!
Widzę ją, nagą! przychodzi z kwiatami,

z ogniem, przez mur się dostaje, przez kraty
i piersi swoje bezwstydne podściela
mym suchym kościom — i kusi, i wabi,
i pocałunkami dusi mnie i krew mą
zażega bólem, rozkoszą, obłędem,
szpik mi wypala i mózg w czaszce topi
w piekielnym objęć szatańskich sabacie!

Głosy *przerażone:*

Sukkubus! zgroza!

Arno *zatacza się jak pijany, chwytając rękami za głowę:*

O, Najświętsza Panno!

O. Anioł.

Grzech mój największy! grzech mój niezmazany!
ja szatanowi jestem zaprzedany!
nędzne me ciało w brudnym szale płonie
a dusza w piekło zapada i tonie!
Gorze mi! gorze! mnie grzesznemu gorze!
Ratujcie! bracia! ratujcie mnie! Boże!

Pada zemdlony na ziemię.

Kuno.

Majaczysz, ojcze! Twoja krew cię zwodzi
i sny piekielne łudzą!

O. Damazy.

Milczcie, panie,
to nie jest wasza rzecz sądzić te sprawy!

O. Hilgier.

Upadł zemdlony... Wynieście z kościoła...

Bracia dźwigają i wynoszą O. Anioła.

Kuno.

I skończmy sądy!

O. Damazy.

Teraz się dopiero
sąd rozpoczyna! Nie o wiarołomstwo
ani o zdradę idzie tu! Ja skarżę
ową kobietę o spółkę z szatanem,
o czarnoksięskie praktyki przeklęte,
których dowody dosyć jasne mamy!

Kuno.

To jest szaleństwo! Ja tu sędzia jestem,
ja, grabia! pan wasz i wasal cesarza!

O. Damazy.

Tutaj cesarska władza już ustaje
i twoja, panie! tutaj Kościół sądzi!
a jeśli winę znajdzie i potwierdzi,
wtedy dopiero sądy świeckie będą
karać skazaną, ale nie klasztornem
zamknięciem, jeno lochem albo... stosem!

Kuno.

Ja nigdy tego nie dopuszczę!

O. Damazy.

Musisz!
A jeśli zechcesz się oprzeć, to klątwa
kościelna także i ciebie dosięże!
pomnij!

Medyk do grabi:

O, panie! ratuj-że ją! ratuj!
Przecież to chora kobieta, nic więcej!
a mnich w gorączce bredzi i majaczy!

Kuno.

Jam wiarołomną żonę chciał ukarać
i po to tylko was tu zawezwałem,
lecz nie pozwolę, aby z niej czyniono
czarta! To śmieszne powiastki dla dzieci!
Wy mnie nie straszcie klątwą! księże słowa
wiatrem są u mnie! Dość mam silną rękę,
aby obronić tę... biedną grzesznicę
przed waszą klątwą i kaźnią i stosem!

O. Damazy.

Łudzisz się, panie! Nie tacy się mocni
w prochu kajali pod gromem Kościoła!

Kuno zwraca się do swoich ludzi.

Hej, moi! wziąć mi zaraz tę kobietę
i zaprowadzić do celi na wieży!
Straż u drzwi stanie i nikt tam nie wejdzie
bez pozwolenia mego! Nuże! raźno!

Straż zbliża się ku Marunie, aby spełnić rozkaz.

O. Damazy.

A ja zabraniam wam w imię Kościoła
słuchać rozkazu! — —

Straż cofa się z lękiem.

Kuno do strażników:

Psy parszywe! łotry!
a więc wy śmiecie...?
Zwraca się do rycerzy:
Hej! rycerze moi!
więc do was mówię, bitew towarzyszy
krwią mi zbratanych! Spełnijcie wą wolę!

Kilku rycerzy bierze Marunę między siebie.

O. Damazy.

Stójcie!

O. Hilgier.

Dość sprzeczki! Ustąpcie, czcigodny
ojcze! Nie będziem tu przecież krwi lali!
Ja jestem pewien, że gdy się kasztelan
namyśli, odda nam snadnie podsądną,
gdy zażądamy...

Kuno.

Przenigdy!
Daje znak rycerzom, którzy wyprowadzają Marunę.

O. Damazy do O. Hilgiera.

Źle, ojcze,
żeście ulegli w tej sprawie!

Zwraca się do kasztelana:

Ty dzisiaj
przemocą winną wydzierasz sądowi,
lecz nie tryumfuj, grabio! My się jutro
o nią upomnim! a jeśli się oprzesz,
skutki oporu spadną na twą głowę!

Kuno.

Co jutro będzie, to jutro pokaże!
lecz dzisiaj moja wola tutaj rządzi!
i wiedzcie o tem, że pod mą opieką
jest ta kobieta! — Hej! za mną, rycerze!

Wychodzi z resztą rycerstwa. Służba postępuje za nimi w milczeniu.

O. Damazy.

Do jutra, panie! do jutra, powtarzam!

Mnisi wychodzą przeciwną stroną, przez kościelną nawę. W opustoszałym przedsionku pozostaje tylko Klucznik, Arno i Odźwierny.

Klucznik schyla się i dźwiga powoli trupa z ziemi.

Pójdź, mój synaczku... Spełniliśmy nasze
zadanie... Pójdź już... Do snu cię ułożę,
utulę, włoski pogładzę, okryję

i spać już będziesz... Pójdę wnet za tobą, pójdę, synaczku... do grobu... ciemnego...
Wychodzi z trupem na rękach.

Arno stoi nieporuszony, osłupiały.

Odźwierny zbliża się po chwili ku niemu i kładzie dłoń na jego ramieniu.

Mistrzu, wyszli już wszyscy z kościoła i ja chciałbym zamknąć wrota...

Arno patrzy nań nieprzytomnie:

Odźwierny.

Co wam się stało, panie! patrzycie tak strasznie... Wyjdźcie już z kościoła...

Arno chwyta go za rękę i mówi obłędnie:

Słuchaj mnie, słuchaj... więc ona... Wala... Ten ksiądz... To chłopię...
Z nagłym wybuchem:
O Jezu Maryja! więc ja szatana rysy posągowi dałem! Najświętszej Panny twarz niepokalaną wyrzezałem na obraz i podobieństwo nieczystej zmory! Grzech mój! grzech straszliwy!

Odźwierny.

Mistrzu...

Arno.

Czy widzisz — tam w ołtarzu, pośród świec ja-

rzących, jak się uśmiecha — bezwstydnie, krzywi się — obraz — szatana!...

Odźwierny.

Boże zmiłuj się nad nami! Ja nic nie widzę!

Arno.

Patrz! patrz! — Czy słyszysz? mówi: Przezemnie ludzie ginęli! uwodziłam dzieci, młodzieńców, mężów i starców! lubieżnemi ramiony w piekło ich ciągnęłam, piekielne ognie niosłam im we włosach, krwawemi, od rozkoszy rozdętemi usty duszę z nich wypijałam! aż wreszcie — świętej postać przyjąwszy — uwiodłam serce głupiego rzeźbiarza — i stać teraz będę w ołtarzu — zwycięska, dumna, szydercza — będę zbierać modły ludzkie, ażeby nie szły do nieba! — To moja wina! moja! moja wina!

Odźwierny.

Uspokójcie się, panie...

Arno.

Ha! widzisz! śmiechem znów się krzywią lica...

Odźwierny.

To wam się zdaje... płomień świec tylko się chwieje...

Arno.

Drwi ze mnie, drwi, żem ja ją miał za anioła — i kochał... Znowu, patrz, znowu... Ha! —

Wyrywa miecz z pochwy i rzuca się w głąb kościoła. Słychać głuche uderzenie i łomot spadającego drzewa.

Odźwierny z przerażeniem:

Panie! co robicie! O Jezu! Rozłupaliście posąg, który był już poświęcony! To świętokradztwo!

Arno, który powróciwszy stoi z mieczem w dłoni:

Posąg — był już — poświęcony... To świętokradztwo...

Upuszcza miecz — cofa się z przestrachem pod filar.

Grzech! grzech! grzech! — Zwyciężył szatan!

Akt czwarty

Okrągła cela na zamkowej wieży. Ściany z kamienia — szare, powała na ciężkiem belkowaniu wsparta. Jedno niewielkie, zardzewiałą i uszkodzoną kratą zamknięte okienko w murze. Kraty czepia się bluszcz, pnący się zewnątrz po wieży. Pod ścianą tapczan; nieopodal krzyż, pod nim, na oparciu klęcznika, płonący kaganek. Drzwi małe, kute żelazem. — Noc się ma ku końcu; światło zachodzącego księżyca pada przez kraty okna.

Maruna, szarym płaszczem odziana, siedzi w półśnie na tapczanie. Głowa o mur oparta, ręce bezwładnie opuszczone po bokach. Blask miesięczny pada jej na twarz... Uśmiecha się przez sen, pierś wznosi się jej w głębokiem westchnieniu, usta drgnęły — zaczyna mówić:

Ty przy mnie? Całuj, całuj jeszcze... Twojam!
Pachną te kwiaty... Jak kwiat usta moje...
Co to? krwi plama? Poczekaj, obetrę
włosami memi...

Głos za oknem.

Ijola!

Maruna uśmiecha się przez sen, wstaje, wyciąga ręce.

Mój miły!
wołasz mnie... Idę...

Księżyc zaszedł w tej chwili. Maruna wstrzymuje się, rozwiera oczy, rozgląda się w koło jak nieprzytomna.

Sny... Znów sny mnie łudzą...

Rzuca się nagle na kolana przed krzyżem:

O, Chryste, Chryste! zbaw mnie już od męki!

Chwila ciszy. Szary obrzask dnia wdziera się do celi. W tem słychać znowu, tym razem wyraźniej:

Głos za oknem.

Ijola!

Maruna zrywa się szybko, chce biec ku oknu, — zatrzymuje się, — bolesny uśmiech.

Śni mi się, znowu mi się śni, choć księżyc zaszedł już przecie...

Wznosi oczy na krzyż, cofa się zwolna.

Daremne prośby, wysiłki daremne! — Szatańska jest nademną moc!...

Podeszła do muru, opiera się oń ramieniem, z cicha łkać poczyna.

Głos za oknem.

Ijola!

Maruna biegnie ku oknu, — staje w połowie drogi, — tak, nie może już łudzić się dłużej:

To on! — O Boże! — Nie chcę! — Ratuj mnie, o Boże! Ja nie chcę! — Niech spokój już będzie!

Wyciąga ręce, jakby odpychając coś od siebie

Arno pojawia się za oknem, uczepiony u muru.

A, jesteś! — Podaj mi dłoń... Bluszcze rwą się w moich rękach, cegły usuwają się z pod nóg...

Z wysiłkiem wydostaje się na gzyms okna i chwyta rękami za kratę.

Puść mnie! puść mnie! Chcę wejść do ciebie!

Maruna cofa się z lękiem.

Ty... ty...? Jak śmiesz?

Arno.

Ja jestem! — Puść... Ta krata...! A! pomóż mi ją wyłamać! — Szarpie z wysiłkiem kratę.

Maruna prawie z krzykiem:

Czego chcesz tutaj!?

Arno.

Ciebie! — Opiera się całą mocą o kratę i wyłamuje ją ze spróchniałych drewnianych ram.
Nareszcie! — Wskakuje przez okno do wnętrza.
Ijola! — Rzuca się ku niej.

Maruna stanowczym, rozkazującym ruchem wyciąga rękę.

Nie zbliżaj się do mnie.

Arno wstrzymuje się mimowolnie.

Maruna po chwili — spokojnie:

Po co tu przyszedłeś?

Arno z nagłym wybuchem:

Krew ci moją przynoszę, moją krew! — Wyśsij ją, wypij — do kropli ostatniej! Twój jestem! — Oddaję ci się duszą i ciałem!...

Maruna z bolesnem szyderstwem:

Mnie — czarownicy? —

Arno.

Wszystko mi jedno! I tak już dusza moja potępiona, piekłu zaprzedana na wieki! — a ja wszak jeszcze nawet ustami ust twoich nie tknąłem! — Zapłać-że mi przynajmniej rozkoszą za duszę moją straconą!

Maruna.

Ah!

Arno obłędnie — jakby jej zwierzał tajemnicę:

Stało się, jak chciałaś... Przychodzę ci powiedzieć, że wszystko się stało... Tam w kościele — na urągowisko — twoje lica zaświeciły z ołtarza, stanął tam posąg Maryi z twojemi rysami, który ja! ja sam wyrzezałem! A kiedy woda święcona zlała się na to drzewo, kiedy święte już było, ja — na dopełnienie świętokradztwa — własnemi rozłupałem je rękami! — Mieczem żelaznym ciąłem w skroń twoją — w jasną Maryi skroń! — tam na ołtarzu, pośród świec jarzących, na białym obrusie! Czegóż chcesz więcej? — czegóż ty więcej możesz jeszcze chcieć? —

Maruna.

Ty jesteś szalony!

Arno.

Wszystko jest tedy — w porządku! Zatracona jest dusza moja na wieki! — Tylko jeszcze zapłata! zapłata! Przychodzę po nią, po pocałunki twoje, uściski, objęcia, po śmierć!... Na piersi twoje patrzyłem nieraz, jak obłąkany, — przychodzę je teraz całować! — daj! — chcę zapłaty za mój grzech!

Zbliża się do niej.

Maruna.

Precz! precz odemnie!

Arno.

Jakto? — więc to wszystko... za darmo? I ja — miałem cię — w swej izbie — tak blizko; dosyć mi było rękę wyciągnąć... A ja, szaleniec, rąk wyciągnąć nie śmiałem, walczyłem ze sobą, dusiłem się, marłem... za świętą cię miałem!

Maruna.

Za świętą mnie — miałeś!

Arno.

Ach! jakże się ty ze mnie śmiać musiałaś, że tak łatwo, tak tanim kosztem zdobyłaś moją duszę! — Uwierzyłem w twe kłamstwo, w twój majak szatański — ja głupi! — Widzisz — i w tej chwili

jeszcze — przeklinaćbym cię powinien, a... nie mogę... kocham cię jeszcze! — No! śmiejże się ze mnie! śmiej się!

Maruna.

Ze siebie samej śmieję się w tej chwili, nie z ciebie! Ze swego snu, z swej wiary! — Odejdź! odejdź odemnie! Idź, szukaj prawdy po świecie! szukaj miłości...

Arno z lękiem:

Nie odpychaj! — miej litość! Ja nawet kłamstwo twoje... błogosławię! Nie wiem już nic po za tem, że byłem szczęśliwy... I pragnę! — Pozwól mi zginąć, zatracić się do reszty w twoich ramionach! Cały dzień — i noc walczyłem ze sobą, — nie mogę już dłużej... Twój jestem! — Ijola! czy ty nie widzisz, jak od tęsknoty drżą moje ramiona? i jak obłędnie pragną usta moje? Niechże się życie me całe w jednę chwilę przetopi i spłonie w tej chwili! — Pragnę twoich ust! —

Maruna.

Dlaczego ty mi to mówisz — dzisiaj? dlaczego?

Arno, uderzony jej głosem pełnym bolesnego wyrzutu, cofa się w zdumieniu.

Maruna po chwili:

A tak, — i ja twoich ust pragnęłam! Marłam z tęsknoty za niemi, pieściłam je w myśli, tuliłam się do nich — ja, któram jeszcze nikomu duszy

swej w pocałunku nie dała!... Widzisz, całowano me wargi, ale mimo to ty mogłeś być pierwszym, którego jabym była całowała! — A tak! — oddawałam się w myślach cała twoim ustom, nie wiedząc nawet że są żywe! — Bom ja to przecież za sen wszystko miała! — Och! — jeśli to naprawdę była igraszka szatana, to mnie on uwiódł! mnie! — nie ciebie!

Arno.

Ijola! Ijola!

Maruna.

Nie! nie! — nie nazywaj mnie tak, bo to imię przypomina mi ten złoty sen, to jedyne szczęście moje łudne, które rzeczywistość zdeptała, któreś ty sam podeptał wczoraj i zniszczył! Tak jest, ty! ty jeden! Niczem mi były te obelgi, które na mnie miotano, niczem ohydne oskarżenie, niczem to wszystko, co grozić mi może w tej chwili, dopókiś ty...! A! jak dziecko cieszyłam się — szalona! — zobaczywszy ciebie, przekonawszy się, że żyjesz — ty, który mi dotąd sennem byłeś tylko zjawieniem! — Ręce do ciebie wyciągnęłam, jak do szczęścia swojego, a ty... ty... Ach! czemużem wczoraj nie umarła, nim zobaczyłam ciebie!

Arno.

Ijola!...

Maruna.

Niema już Ijoli! To było imię świętej i szczęśliwej! — Nie! nie! niema Ijoli! — jest żona wiarołomna, tłumu kochanka, jest czarownica w wieży zamknięta i o najohydniejsze sprawy obwiniona! — Czyżbyś ty śmiał był przyjść do Ijoli, z której posąg Marji rzeźbiłeś, jak do mnie w tej chwili przychodzisz — żądać pocałunków, uścisków, zapłaty za grzech? za grzech, żeś ty ją miał za świętą!

Arno w najwyższem pomieszaniu:

Więc to... więc to... O Boże! — więc to jest nieprawda?

Maruna.

Co? co ma być nieprawdą? Czy hańba moja i poniżenie, czy żem ja ciebie więcej niż duszę swą kochała?

Arno.

O Jezu! — Maryjo! — w głowie mi się już mąci wszystko i miesza! — Ten sąd... to oskarżenie...?

Maruna.

A! więc on wierzył naprawdę, żem ja czarownica! O Chryste! o Chryste! — on wierzy jeszcze w tej chwili! — — Wybucha spazmatycznym śmiechem.

Arno rzuca się ku niej.

Nie! nie! — nie wierzę już! — Jasna mi jesteś i święta znów — jak wówczas!...

Maruna.

A zresztą — bo ja wiem sama? Może to istotnie szatan mnie uwodził? Może to on wiódł mnie — niewiedzącą o tem — w księżycowym blasku po gzymsach do ciebie, aby mnie zgubić i twoją duszę zatracić?

Arno.

Nie mów tak!

Maruna.

Owszem. Nazwy, które się ludziom nadaje, stwarzają w nich to, co znaczą. Święta ja byłam, dopóki tyś mnie tak zwał... Wczoraj usłyszałam, żem jest czarownica i myślę dzisiaj sama, że to prawda jest może. Bo przecież tyle nieszczęścia przezemnie powstało i tyle już na mnie jest krwi...

Wstrząsa się.

Tak, ja dzisiaj inna już jestem! Czuję, że budzą się we mnie jakieś złe rzeczy, drapieżne... Krzywdę mi zrobiono, sponiewierano mnie i pohańbiono, — chciałabym teraz mścić się, niszczyć i zabijać! — Idź stąd! idź, idź odemnie, bom ja gotowa...!

Arno.

Nie! nie odejdę już teraz! Kocham cię! — czy słyszysz!

Maruna.

Kochasz mnie! — Czemuż wczoraj nie powiedziałeś tego słowa! Czekałam na nie! — Czemuż nie podałeś mi ręki, nie stanąłeś przy mnie, nie uratowałeś!? Nie przed tymi sędziami, ale przedemną samą trzeba mnie było bronić! Gdybyś ty mi był powiedział, że wierzysz we mnie, że czysta ci jestem, byłoby spadło ze mnie to błoto, które na mnie miotano! Ale ty zwątpiłeś! odstąpiłeś mnie razem ze wszystkimi, — a na tobie jednym mi zależało! — Bałeś się! byłeś słaby! — i dzisiaj czuję, że mam to błoto na sobie, w ustach! w gardle! w duszy! — ach!

Arno pada na kolana.

Moja, moja wina! Patrz, kraj szaty twojej całuję, na kolanach się włóczę za tobą: przebacz mi! Święta mi jesteś i czysta! — Ijola! Ijola! — tem złotem, jasnem imieniem cię wołam, — czy słyszysz? o moja! Przezemnie to wszystko złe przyszło na ciebie, ale to jeszcze da się naprawić! Ijola! sen mieliśmy cudny, — teraz jawą on będzie! Ty moja już będziesz — na zawsze!

Maruna głucho, jakby myślom swym odpowiadając:

Nie..., nigdy ja nie będę twoja! To koniec.

Arno powstaje.

Patrz! krata wyłamana, a na murze jest tam z pnących się bluszczów drabina, która mnie przywiodła do ciebie! — Straży niema z tej strony... Uchodźmy — póki czas! nim dzień zaświta! nasz dzień! Ijola! tam świat jest szeroki, tam wolność i słońce i miłość i szczęście jest dla nas! — uchodźmy!

Maruna.

Nasz dzień nie zaświta nigdy i tam nic już niema dla nas! — Zapóźno!

Arno.

Nie zapóźno! nie! Przecież ja kocham ciebie! i wierzę we wszystko, coś powiedziała, wierzę, że jesteś niewinna, — tak! wierzę! chociażby to nawet była... nieprawda!

Maruna.

A widzisz! — w tej chwili mówiąc, dałeś dowód, że nie wierzysz... Pozostaw mnie w spokoju. Nie jesteś dość silny, abyś mógł zapomnieć o tem, coś usłyszał tam — wczoraj! Nie jesteś dość silny, abyś zdołał w czystość mą uwierzyć. To już skończone. — I cóż, gdybym i ja, teraz uwiedziona, uszła wraz z tobą? Ciągła wątpliwość będzie w tobie nurtować! twoje oczy mówią mi o tem, nawet w tej chwili! Będziesz wciąż myślał i truł się podejrzeniami. Będziesz się grzechu bał i mnie za-

bijał swą obawą, bo ty jesteś słaby! ty nie rozumiesz, że poza grzechem może być świętość jeszcze! — Ty o drobnostkach zapomnieć nie zdołasz! nie spojrzysz nigdy na usta moje, abyś nie pomyślał zaraz, że je kto inny całował...

Arno spuszcza głowę w milczeniu i kryje twarz w dłoniach.

Maruna.

Milczysz... Sam to rozumiesz, sam wiesz, że takby musiało być...

Arno z nagłym wybuchem:

A! czemuż ten człowiek mi to opowiadał — i umarł! — Czemuż nie mogę pochwycić go za gardło i zmusić, aby zaprzeczył... A! przekleństwo!

Wije się, uderza głową o ścianę, jak obłąkany.

Maruna spokojnie:

Myślisz o Wali... Tak, to co było, było takie proste, ale ty nie pojmiesz i nie uwierzysz... a jego — już niema... A zresztą, choćby i żył, toby ci wiary nie dało, cobyś mógł posłyszeć. — Nasz sen się już prześnił, — dajmy mu pokój. Zostaw mnie losowi. Nie będę ci już nigdy tem, czem byłam w owe noce księżycowe, a czem innem ci być — ja nie chcę! Zbyt żywa jest we mnie pamięć tego, co przeszło! I ty już nie jesteś dla mnie tem, czem byłeś — jeszcze wczora! — Odejdź! — Kocham cię jeszcze, i dlatego właśnie powiadam ci: odejdź!

Arno łamiąc się wewnętrznie ze sobą:

To niemożliwe...! Ijola! ja kocham ciebie! Co mnie to obchodzi, co było! — co mnie obchodzi, czy Bóg czy szatan przywiódł cię do mnie! To jedno wiem, że żyć już bez ciebie nie mogę... Kochałem cię, jako anielskie widzenie, kocham cię, jako kobietę i gdybyś była nawet szatanem, kochałbym cię tak samo! do obłędu, do grzechu! do duszy zatracenia! Ty musisz być moja! Pójdź, pójdź, — spiesz się! — uciekajmy stąd! pójdź ze mną! — Patrz! świt już wstaje! za chwilę ludzie się obudzą, za chwilę będzie już zapóźno!

Maruna.

Już jest zapóźno!

Arno.

Nie mów tak! nie łam mnie! nie zabijaj! To szaleństwo wszystko, co mówiłem! Zapomniałem już o wszystkiem, o mężu twoim i o Wali... To trup już przecie, — niech odpoczywa w pokoju! — Kocham cię, pragnę! ja — żywy! Jakaż ty piękna jesteś, Ijola! Jagna! Maruna! Jeżeli zechcesz, duszę zatracę dla ciebie! Szatanowi ją sprzedam, lub Bogu poświęcę — mnie wszystko jedno, byleś ty była moja! Kocham cię! kocham! pójdź ze mną!

Maruna.

Nie pójdę.

Arno.

Pójdź!

Maruna.

Nie! Gdybym wiedziała, że śmierć mnie tutaj czeka, to śmierć wybiorę raczej, a nie pójdę z tobą! — Zbyt piękne było to, co przeszło!

Arno.

Ależ to szaleństwo!

Maruna.

Tak! jeśli szaleństwem jest wstręt przed pokalaniem tego, co było najpiękniejsze w życiu: tom ja jest szalona! Jestem szalona, bo nie chcę być twoją kochanką, mężowi prawemu zabraną, dręczoną twojemi podejrzeniami, twoją niewiarą, słabością, ja, która ci byłam najczystszą, świętą miłością na ziemi, godna, abyś twarz moją stawił na ołtarzu! — Rozłupałeś ten posąg; — wiedz-że, że ja to byłam! ja sama! Mnie zabiłeś tym ciosem, zabiłeś Ijolę! Maruna nigdy nie będzie twoją! Maruna jest dumna księżniczka — i raczej sługa szatana, niż nałożnica twoja, rzemieślniku!

Arno.

Więc Jagna! Jagna niech będzie moja! — ta Jagna, której usta włóczęga przecież dowoli całował!

Maruna.

Ach! — ty śmiesz... Precz! precz! — nie kalaj mi ostatnich godzin!

Arno.

Ha, ha! nie kalać godzin ostatnich! Obłąkałaś mnie na chwilę, ale teraz widzę napowrót, czem jesteś! — To próżne słowa, które mówisz, — ja znam cię, znam cię, czarownico! uwodzicielko! Zagubiłaś duszę moją, a teraz, gdy ja oszalałem, wyszydzić mnie chcesz do reszty! Ale to ci się nie uda! Nie odejdę tak od ciebie! Ty musisz być moja, musisz! bodaj przez chwilę! a potem — piekło niech mnie pochłonie! Ale teraz tyś moja! Nie zechcesz dobrowolnie, to przemocą cię wezmę, czarownico!

Rzuca się ku niej.

Maruna w chwili, gdy on chce ją objąć rękoma, wyrywa mu puginał z za pasa i uskoczywszy w tył, staje w obronnej postawie.

Ani kroku dalej! — bo zabiję!

Arno posuwa się ku niej:

Zabij! Umrzeć raczej, niźli wyrzec się ciebie!

Maruna cofa się znowu.

A więc nie w twoją, ale we własną pierś ten nóż wbiję, jeśli choć jednym krokiem jeszcze postąpisz! Będziesz miał — trupa!

Arno zatrzymuje się i mówi, jak nieprzytomny:

Jakto? Więc nigdy?... nigdy? za mój grzech? za duszy mojej zatracenie...?

Maruna rzuca sztylet.

Nigdy! Straciłeś mnie! Nigdy ja nie będę twoja.

Arno po długiej chwili:

Ha, ha! niechże więc i tak będzie, gdy w takiej masz się cenie!... Odejdę od ciebie... Rozumiem teraz, jedynym celem twoim było mnie zgubić i zniszczyć, ty — wiedźmo djabelska, która tylko starcom lubieżnym oddajesz swe ciało, aby do piekła ich zaciągnąć, — ale mnie, mnie ani dłoni dać nie potrzeba, bo ja przecież i tak jestem opętany! — — Nie tryumfuj-że jednak przedwcześnie! Odejdę, dam sobie radę, zapomnę, — wyrwę cię z serca, z pamięci, z żył moich! Tak, wyrwę! wyrwę!

Maruna powoli, spokojnie:

Nie łudź się, — o mnie nie zapomnisz nigdy.

Arno.

Zapomnę!

Maruna.

Czarownicą mnie nazwano, wiedz-że tedy, że ja jestem czarownica! O mnie nikt nie zapomina, kto raz mnie zobaczył! To jest — widzisz — czarno-

księstwo moje, które klątwą ciąży na mem życiu! Ty będziesz myślał o mnie wieczyście, we dnie i w nocy! — nie będzie miejsca ani godziny, żebym ja nie stała ci przed oczyma. Z myślą o mnie będziesz zasypiał i budzić się będziesz z myślą o mnie! Będziesz żałował, żeś mnie utracił i sam siebie będziesz przeklinał — i zginiesz przez to, boś ty jest słaby!

Arno.

Nie, nie! — na moc się zdobędę!

Maruna.

Próżno chcesz wmówić to w siebie, czemu sam nie wierzysz! — A wiesz ty, co ty utraciłeś? Gdybyś wczoraj nie był się zachwiał, gdybyś był miał odwagę wierzyć we mnie... o! jakże rozkoszna byłaby ta godzina dzisiaj! Świętość, w którą ty mnie stroiłeś, jabym ci była dzisiaj pod nogi podesłała, jak płaszcz królewski! W zaczarowaną komnatę byłaby się ta cela przemieniła! Jabym ci ją była tak przeczarowała — ustami swemi — pocałunkami, uściskami niewysłowionej rozkoszy! Ginęli ludzie dla mnie, myśląc o tem szczęściu, które twoje mogło być dzisiaj! — Pragnienia moje wszystkie, całej krwi mej tęsknotę, miłość moją najdroższą, której nikt dotąd nie zaznał, byłabym ja ci oddała, jak kwiat przedziwny, w ogniu słonecznym rozwity! — Patrz, patrz! jak drżą me usta na samą myśl o tem! te usta, których ty nie dotkniesz już nigdy! Patrz, patrz! jak faluje

pierś moja, biała, gorąca, stęskniona pierś, do której jabym była głowę twą przytulała, dusząc cię w rozkosznym, jak śmierć mocnym i słodkim uścisku! — Czy widzisz, jakie złote są włosy moje? czy czujesz, jak pachną? — byłbyś się kąpał, gubił, topił w ich powodzi — ty, kochanek mój słodki, jedyny!

Arno.

Szatanie!

Maruna.

Ach! wtedy krew bym moją była oddała, życie moje za to wielkie szczęście senne, którego przy tobie doznałam, za wiarę twą we mnie! — I czemżeby wtenczas był dla ciebie grzech? czem strach lub niebezpieczeństwo? W rozkosznym, jedynym uścisku spleceni kończylibyśmy nasz sen cudowny — najcudowniejszą, od snów wszystkich bardziej czarodziejską jawą! — — A jeśliby ta chwila szczęścia nie była nas zabiła mocą swą niewypowiedzianą, — jeśliby rankiem do tych wrót strażnik był zakołatał, mybyśmy nawet głów nie odwrócili, i tak — słuchaj! — tak razem w uścisku splecionych zabićby nas musiano! — Czy wiesz teraz, co ty przez słabość swą utraciłeś? jak piękną godzinę życia i jaką śmierć cudowną? — — —
A teraz idź i zapomnij — gdy zdołasz!

Arno.

Tak jest! — masz słuszność... tyś zwyciężyła! —

Ja — nie zapomnę — o tobie — już nigdy...

Z nagłym przestrachem:

Ach! uciekać! uciekać przed tobą!

Maruna, postępując o krok ku niemu:

Nie ujdziesz! bo w sobie mnie nosisz!

Oczy jej, wpatrzone w Arnę, błyszczą nieprzytomnym jakimś, szatańskim płomieniem.

Tak! nosisz mnie w sobie! Na wieczność!

Znowu krokiem naprzód postąpiła.

Arno cofa się ku oknu — w obłąkaniu trwogi.

Na wieczność... wieczność... Zatraciłem duszę... Posąg — Maryi... Ijola... Maruna... Grzech mój...

Z nagłym krzykiem:

Sukkubus! Ratunku!

Wyskakuje przez okno.

Maruna naraz oprzytomniawszy:

Arno!... — Rzuca się ku oknu, wygląda, zakrywa oczy rękami.

A!... — Długie milczenie. Dzień się robi na świecie — słoneczny jasny. — Maruna odejmuje dłonie od twarzy, patrzy wkoło, jak błędna... Wargi poruszają jej się z lekka, — nareszcie wypada z nich bezdźwięczny jeden wyraz:

Skończono. — Postępuje parę kroków, zatacza się, dłonią o mur opiera, aż wreszcie opada ciężko na ławę — bezsilna.

Po pewnym czasie słychać zgrzyt klucza w zamku, — do celi wchodzi **Kuno**.

Maruna siedzi nieporuszona.

Kuno po chwili milczenia:

Maruna...

Maruna wznosi zwolna głowę i pyta:

Czego chcesz?

Kuno.

Mówić z tobą chciałem...

Maruna.

I po co? Wszystko już wiem... Nie dręcz mnie.

Kuno.

Nie wszystko. Ja jeszcze... — Po chwili: — Czy ty wiesz, co tobie grozi?

Maruna.

To mi już obojętne. Spokoju chcę tylko, spokoju! śmierci! — Ukrywa twarz w dłoniach.

Kuno po krótkiem wahaniu zbliża się i kładzie dłoń na jej włosach.

Dziecko...

Maruna wybucha gwałtownym płaczem.

Kuno głęboko wzruszony:

Nie płacz mi, nie płacz! uspokój się, dziecko!

Maruna powstrzymując łkania:

Odejdź, odejdź! Pozostaw mnie w spokoju! Ja nie chcę! Te łzy nie do ciebie należą! — Czemu ty patrzysz na to, że ja płaczę? — Odejdź! bo ci powiem, że te łzy, to nowy grzech przeciwko tobie, — bo za tem ja płaczę, za coś ty mnie przeklął i potępił!

Kuno.

Za nic cię nie przeklinam i nie potępiam dzisiaj... To było wczoraj...

Maruna.

Wczoraj! wczoraj...

Kuno.

Tak. A między dniem wczorajszym a dzisiejszym leży długa noc, którą ja przedumałem, siedząc tam w pustej izbie rycerskiej — samotny, stary... Maruna, ta letnia noc była długa, bardzo długa... Czułem, jak z każdą chwilą, która upływa, siwieje mi jeden włos... Słońce wzeszło — i ja siwy już jestem zupełnie... Miej ty litość nad starcem, Maruna! — Przychodzę prosić cię o przebaczenie.

Maruna z bolesną goryczą:

Mnie — o przebaczenie!

Kuno.

Tak jest, — bo ja sam winien jestem wszystkiemu.

Stara Gerta prawdę powiedziała, — i twoje wyrzuty wczoraj były słuszne, chociaż... może... nie miałaś prawa... Ale to już wszystko jedno! Tak... widzisz, ja grube ręce mam — od miecza, od kopji; nie umiałem temi rękami utulić twego serca, maleńkiej, drobnej ptaszyny... Stary jestem. Maruna, przebacz mi, że jestem stary.

Maruna zdumiona:

Przebaczyć? przebaczyć?

Kuno.

Tak, ja proszę cię o to.

Maruna.

Ty prosisz mnie? mnie, któram ciebie nigdy nie kochała? która duszę swą całą — we snach już — oddałam innemu?

Kuno.

I to mi przebacz, żeś mnie nie kochała, i to, żeś innemu... swą duszę... i ciało... — Urywa, zmożony wysiłkiem.

Maruna nie umiejąc pojąć tego, co słyszy...

Boże! czyżeś mnie ty przeklął naprawdę? czyż ja istotnie jestem — czarownica? — Po chwili:
Odejdź! odejdź! Wszakże ty widzisz — że już i ciebie szatan uwodzi, którego ja snadź mimowolnem jestem narzędziem... Słyszałeś, co wczoraj mnisi mówili...

Kuno.

Dajmy im pokój! Przecież ja w te powiastki nie wierzę.

Maruna.

Nie wierzysz?

Kuno.

Oczywista. I nie wierzyłem ani przez chwilę.

Maruna.

O Boże! czemuż to właśnie ty... i czemu mi to powiadasz w tej chwili — kiedy ja sama... wierzyć już zaczynam...?

Kuno.

Cicho. Obłęd tych ludzi opętał. Nie dajże mu i ty przystępu do siebie... To są bajki i wymysły, ale groźne dla ciebie w skutkach. Groźniejsze może, niż sądzisz. Jednak ja cię obronię.

Maruna.

Ty? Dlaczegóż ty mnie chcesz bronić?

Kuno po chwili — spokojnie:

Bo cię kocham.

Maruna.

Ale ja nie kocham ciebie!

Kuno.

Wiem o tem. Myślałem o tem całą noc — i dzisiaj, przed chwilą, prosiłem cię już, abyś mi to przebaczyła. Wiem, że mnie nie kochasz. Wiem, że mnie zdradzałaś. Byłaś młoda — ja stary. Krew młoda burzyła się w tobie. Moja wina. Ale dzisiaj to już przeszło. Za wiele przecierpiałaś w tym dniu... Patrzę na ciebie, jak na dziecko, — biedne dziecko... Ach, tak... Jeszcze wszystko będzie dobrze... Chcę, żebyś ty mi przebaczyła — i ja ci przebaczę, może nawet... zapomnę... Stary jestem i kocham cię. Już ci nawet przebaczyłem. Powiedz tylko, że żałujesz tego, co było...

Maruna po długiem milczeniu — głucho:

Ja... nie żałuję tego, co było...

Kuno drgnął, brew marszczy groźnie... Po chwili znowu wraca do łagodnego tonu.

Więc... niech i tak będzie. Oczywista, oczywista... Niepotrzebnie tylko powiedziałaś mi to... Bo widzisz, ja twój los trzymam w ręku i mógłbym się unieść... Ale to głupstwo. Przecież na słowa dziecka nie należy zważać...

Maruna.

Nie jestem dzieckiem.

Kuno.

Wobec mych siwych włosów jesteś dzieckiem,

Maruna. Grzech mój, że dotąd nie pamiętałem o tem. — Jesteś dzieckiem, może czasem złem... ale dzieckiem. Samej sobie zrobiłaś krzywdę i teraz nastają na ciebie. Ale ja cię wyratuję. Będziesz żyć ze mną...

Maruna.

Nie! nie! nie!

Kuno.

Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co ciebie czeka, gdy ja cofnę rękę od ciebie? Oskarżona jesteś o spółkę z szatanem, kościelne sądy zawisły nad tobą! — Ja wiem, że to śmieszne, ale dużo jest pozorów, które wystarczą, aby cię potępiono. A jeśli ci mnisi uznają cię winną, to będziesz jako czarownica wydana sądom cesarskim, a wtenczas — po mękach — czeka cię — stos! — Czy ty to rozumiesz? dziecko! czy ty rozumiesz?

Maruna.

Tak, rozumiem. To jest — koniec...

Kuno.

Straszny, okropny koniec! Do pala przywiązane, żywe twoje ciało ogarniałyby płomienie i żarły... Nie, nie! ja nie dopuszczę do tego! — Za chwilę — przyjdą tu mnisi — po ciebie. Klątwą mi grożą, jeśli cię nie wydam... Ty wiesz, klątwa kościelna łamie grubsze mury, niż te i możniejsze od mojej

głowy poniża... Jeśli będę wyklęty, odbiegną mnie wszyscy, wszyscy przeciw mnie się zwrócą... Widziałem już wczoraj... Ale nie dbam o to, byleś ty mi pozostała... Maruno! oddam ten zamek cesarzowi, — świat jest szeroki, pójdę z tobą w świat, a tam — na kresach — w słowiańskich albo muzułmańskich krajach — wywalczę jeszcze księstwo dla ciebie i ukryję tam, nieznany, moją miłość i...

Maruna.

Dokończ.

Kuno.

Hańbę. —

Maruna po chwili:

Czy spostrzegłeś, wchodząc tu, że ja jestem wolna? i gdybym chciała, mogłam była wyjść stąd i na świat iść i żyć?

Kuno rzuciwszy okiem na okno:

Krata wyłamana!

Maruna.

A ja mimo to jestem tutaj...

Kuno.

Bluszcze potargane koło okna... Maruna! co to znaczy? kto był tutaj?

Maruna.

Człowiek, którego nazwano moim kochankiem, choć był mi on tylko — kochanym!

Kuno wzburzony:

Co? — gdzie on jest?

Maruna.

Uspokój się. Już go niema.

Kuno.

Co się z nim stało?

Maruua zimno:

Zabiłam go. I dlatego pozostanę tutaj.

Kuno wygląda przez okno.

Boże! trup! z rozstrzaskaną głową! — Cofa się — patrzy: — Maruna!

Maruna po chwili — wstrząsa głową:

Nie! to nie jest tak, jak ty sobie pomyślałeś w tej chwili! — Ja tego nie zrobiłam przez zemstę ani z nienawiści... Owszem, to stało się dlatego, żem go kochała... i dlatego jeszcze, że klątwa jest na mnie! Moja miłość nie przynosi szczęścia! ja niszczę ludzi i zabijam! Daj ty mi pokój! odejdź ty już odemnie! — Przypatrz się: Heno — to chłopię, kochał mnie i zginął, Wala — przed laty usta moje całował — i na mnie dzisiaj ciąży jego krew,

w męczarniach strasznych przelana! — A ten ksiądz — w myśli tylko śmiał mnie zapragnąć i wiem, że w obłąkaniu skona! W oczy mi spojrzał ten rycerz obcy i opuścił drogi swoje podobłoczne i tęsknotą opętany pognał w świat! Śmierci będzie szukał, bo nie zapomni już o mnie! A ty, ty sam...! A iluż takich, o których ty nie wiesz, ilu, o których ja nawet nie wiem! Ten jeden był, któregom ja kochała — i patrz, zabiłam go sama!— Ty tego nie pojmiesz... On tu klęczał u moich nóg, podczas gdyś ty dumał tam na dole i myślał o tem, aby mi przebaczyć! —

Rzuca mu się do nóg.

Kuno! pozwól mi umrzeć! Życie mi już obrzydło! jedyne szczęście moje — leży tam — już martwe! Ja nie chcę żyć! zostaw mnie losowi! Wydaj mnie, gdy przyjdą po mnie! Niech już koniec temu będzie!

Kuno.

Kobieto! ty nie wiesz, o co prosisz! Wiesz ty, jakie męczarnie cię czekają?

Maruna.

Wszystko mi jedno! Gorszą męką jest życie! O, pozwól, pozwól mi umrzeć! Jak o największą łaskę o to cię błagam! Patrz! nogi twoje całuję, włosy me złote, przeklęte włosy moje pod stopy ci ścielę — mężu mój! panie! pozwól mi umrzeć!

Kuno.

Szaleństwo! szaleństwo! — to przecież...

Urywa — nadsłuchuje. Odgłos jakiś na schodach.

Wstań i milcz. Już idą. Drzwi zarygluję.

Zasuwa wrzeciądze.

Maruna *zrywa się.*

Stój! nie rób tego! ja nie chcę! Ja będę krzyczeć, że więzisz mnie przemocą!

Kuno.

Tak jest! przemocą cię więżę i — ratuję. Jesteś dziś nieprzytomna. Milcz, jutro będziemy mówić o tem wszystkiem — daleko stąd. Kazałem konie okulbaczyć...

Maruna.

Ja nie chcę!

Kuno.

Musisz!

Maruna.

Nie chcę! Puść mnie! Słuchaj! kochałam innego! Kocham go jeszcze! Zdradzałam ciebie! — i nie żałuję... To kłamstwo było — ja go nie zabiłam... Owszem, chciałam z nim uciekać — od ciebie... Z okna się zsunął — przypadkiem... Puść mnie! Ja o nim myślę! kocham go jeszcze! Jeśli mnie zmusisz, ażebym żyła, to o nim myśleć będę w każdej godzinie, przy tobie, w boru czy w klasztorze... Każdej chwili, każdego dnia i nocy. Będziesz widział moje łzy: — za nim ja będę łzy

lała! — uśmiech mój zobaczysz — to będzie wspomnienie minionego szczęścia, snu, który ja z nim prześniłam! A w nocy... jeśli w nocy posłyszysz jęk lub westchnienie, to będzie tęsknota za jego uściskiem, lub senne zwidzenie, że leżę w jego ramionach...! Czy chcesz, czy chcesz mnie taką mieć?

Kołatanie do drzwi.

Kuno cofa się blady — osłupiały.

Maruna.

Otwieraj! otwieraj prędko! bo każda chwila, jaką mi pozostawiasz, to chwila myśli o nim! Ja kocham go! słyszysz! — Kocham tego trupa!

Kuno z nagłem postanowieniem biegnie do drzwi, otwiera.

Mnisi wchodzą przez rozwarte drzwi — długim szeregiem. Coraz ich więcej, — ustawiają się pod ścianami, wypełniają całą celę, a jeszcze na schodach widno mnisze habity. Milczą wszyscy ponuro.

Kuno wśród głuchej ciszy wskazuje ręką Marunę.

Wasza jest.

Maruna stoi nieporuszona.

Druk ukończono dnia 8. lutego 1905.

